Nr. 11. Poznań, Niedziela 11-go Marca 1900. Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu już z odnoszeniem tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86. Pojedyńczy numer „Pracy" nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Do Czytelników!

Z dniem pierwszym kwietnia r. b. Wydawnictwo „Pracy" przystępuje do wydawania jeszcze jednego pisma pod tytułem

„Czytelnia Polska."

W krótkich słowach objaśnimy potrzebę i cel naszego nowego wydawnictwa.

„Czytelnia Polska"

będzie to tygodnik, objętości 16 do 20 stron i więcej, formatu książkowego z illustracyami, poświęcony wyłącznie ***naszej*** *literaturze powieściowej.*

„Czytelnia Polska"

kosztować będzie na poczcie

tylko 50 fen. na kwartał, w Austryi 30 ct.

Sądzimy, że w powyższych dwóch zdaniach mieści się odpowiedź na pytanie: jaki cel mieć będzie

„Czytelnia Polska"?

Nasz ukochany język ojczysty, wyparty, pomimo przyrzeczeń królewskich z urzędów i życia publicznego, upośledzony w szkole, ostatnią bezpieczną przystań znalazł w piśmiennictwie. Ku tej to niwie zwróciły się dążenia i usiłowania przodujących narodowi duchów; w piśmiennictwie, w rozwoju poezyi i literatury szukał naród nasz orzeźwienia po trudach i znojach, po ciężkich politycznych przejściach i zawsze je znalazł; — i więcej niż orzeźwienie: bo znalazł pociechę w strapieniu, ukojenie w bólu, nadzieję w nieszczęściu. Spojrzyjmy po za siebie na dobiegające swegu kresu stulecie — zaznaczyło się ono w rozwoju naszego piśmiennictwa niespożytemi pomnikowemi dziełami, które chlubnie świadczą o żywotności naszego narodu, które nas w szeregu innych ucywilizowanych narodów utrzymują, pomimo że nie mamy bytu samoistnego politycznego, pomimo że pierś naszą przygniata stopa zwycięzców. Inne, szczęśliwsze od nas, bo wolne narody tysiączne mają sposoby dorzucenia cegiełki do wszechświatowej cywilizacyi; my Polacy wdowi grosz nasz składamy ofiarą z ducha na ołtarzu cywilizacyi, lecz grosz to nie marny, bo to, co wydał z siebie naród polski na polu literatury w bieżącem stuleciu, to — zdaniem obcych — zaliczonem być ma do pereł wszechświatowej literatury.

Lecz lud nasz, ten lud, te szerokie warstwy narodu, które na swych barkach losy przyszłości Ojczyzny noszą, lud ten za mało czyta, za mało wie o swej literaturze ojczystej.

I cóż z tego, że w górnych gdzieś warstwach narodu uszlachetnia się poczucie piękna, dążenie do ideału przyjmuje artystyczną formę, bujny rozkwit literatury w zawody idzie z zachodnio-europejskim rozkwitem, jeśli echo tego życia nie dochodzi do najszerszych warstw ludu?

Czy nie dochodzi?

O tak, polityczna myśl jednaka łączy nas w jedną rodzinę, nasze dzienniki i piśmiennictwo polityczne szerzy samowiedzę położenia narodu, ale z nagromadzonych przez naszych powieściopisarzy skarbów ducha mało co się przedostaje do szerszych warstw, literaturę na bok usuwa polityka, jak kopciuszka, który może stać na uboczu, czekając, kiedy przyjdzie i na niego kolej.

A przecież kopciuszek ten — to jedna z najżywotniejszych cząstek ducha polskiego!

Niestety — obca literatura, obce piśmiennictwo, wciska się do nas wszystkiemi szczelinami, dążąc do opanowania nas drogą powolnego, lecz stałego podboju; spojrzmy tylko, w ilu to domach polskich bujnie rozrasta się literatura powieściowa niemiecka! Policzmy tylko wszystkie belletrystyczne tygodniki i miesięczniki, wszystkie kolportowane, wychodzące zeszytami romanse i powieści, mające dostęp do polskich domów, tych nawet, do których niema przystępu polityczna gazeta niemiecka — a przekonamy się, że na tem polu *literaturze naszej należy się więcej miejsca i lepsze*

miejsce, że czas, aby przestała ona być pogardzanym kopciuszkiem! Dlaczegoż lud nasz nie ma czytać autorów polskich, dlaczegoż z utworami obcych literatur nie ma się zaznajamiać w swym ojczystym języku, skoro piśmiennictwo nasze pod tym względem przedstawia niewyczerpane niemal zasoby, po które wystarczy tylko się schylić?

Lud nasz ma w ojczystym języku czytać utwory piśmiennictwa powieściowego, ma się zapoznać powoli z tem, co literatura ojczysta zawiera — oto cel „Czytelni Polskiej“.

„Czytelnia Polska“

będzie dążyć do wyparcia z domów polskich tych wszystkich nieproszonych gości cudzoziemskiego autoramentu, którzy się dziś w nich rozpanoszyli — a dążyć będzie do tego przez zaznajamianie ogółu z celniejszemi płodami ojczystej literatury. Każdy zeszyt

„Czytelni Polskiej“

stanowić będzie, o ile możności, oddzielną całość co do treści, a dzięki niebywale przystępnej cenie każdy, choćby najbiedniejszy obywatel, będzie w możności powoli zebrać sobie biblioteczkę rodzinną.

„Czytelnia Polska“

będzie w niejednym domu początkiem biblioteczki domowej.

Liczymy w pierwszej linii na Czytelników „Pracy“, że zechcą nasze nowe przedsiębiorstwo poprzeć usilnie i gorąco; znają oni nasze dążenia, więc są w stanie ocenić doniosłość sprawy, którą podejmujemy obecnie. Dawać tygodnik powieściowy o 24 stronach druku, z illustracyami, znaczy to dawać za pół darmo; Czytelnicy „Pracy“ wiedzą, że czynimy to dla dobra sprawy, dla sparaliżowania ogarniających Polskę pajęczą siecią usiłowań germanizacyjnych. Wiemy, że usiłowania i trudy nasze z życzliwością przyjęte zostaną przez społeczeństwo. Ale to nowe przedsiębiorstwo, jeśli ma wydać dodatnie społeczne i narodowe wyniki, musi spotkać gorące poparcie, musi pójść od razu w tysiące. Liczymy na Was, Czytelnicy „Pracy“, liczymy na wszystkich przyjaciół dobrej sprawy.

Pod hasłem: *Rodzimej literaturze to — co jej się należy!* rozpoczniemy naszą nową pracę w tem przekonaniu, że dobre rozpoczynamy dzieło.

Wydawnictwo „Pracy“
Marcin Biedermann.

Panom ministrom — do sztambuchu.

Jego Ekscelencya pan minister spraw wewnętrznych Rheinbaben i Jego Ekscelencya pan minister oświaty Studt — nie są dobrymi politykami, ośmielę się im to w oczy powiedzieć.

Cała tajemnica powodzenia w polityce spoczywa w umiejętnem zasiewaniu niezgody wśród obozu wrogów. *Divide et impera* — tak mawiali starożytni, a zasadzie tej nie sprzeniewierzył się system pruski wobec naszego społeczeństwa aż do ostatnich czasów.

Gdy pan von der Recke lub Bosse wygłaszali mowy antypolskie w parlamencie lub sejmie, trzymali się zawsze tej zasady: wymyślać, co wlazło, na bezczelnych „agitatorów wielkopolskich“, którzy podburzają poczciwy, wierny pruskiej koronie lud polski, cytować marnie przetłomaczone na język niemiecki ustępy z pism polskich i wreszcie — dawać zdumiewające dowody nieznajomości stosunków panujących w Poznańskiem.

Gdy który z naszych posłów zaczepił ministra n. p. o wydalanie robotników polskich, pan von der Recke niestworzone rzeczy opowiadał o agitacyi wielkopolskiej, aż zgroza była słuchać, co to za zajadli ludzie, ci agitatorzy; skarżył się, że szlachta, że inteligencya, że duchowieństwo bierze udział w szerzeniu nieufności ku władzom pruskim. A gdy nasz poseł przytoczył jaki fakt, że w ciągu 24 godzin wydalono z obrębu państwa osiadłą od lat rodzinę polską, rujnując przez to jej cały byt materyalny, pan von der Recke odczytywał z namaszczeniem wyjątki z rozmaitych pism polskich: miało to oznaczać, że skoro prasa tak źle się obchodzi z władzami, to władze mają prawo odwzajemnić się na skórze jakiegoś tam robotnika. Przyparty wreszcie do muru w jakimś pojedyńczym wypadku, przyrzekał, że się poinformuje (i zapewne w myśli kończył: o nowych „wybrykach“ prasy polskiej).

Tak się toczyły dysputy z panem von der Recke. Trudno było gazetom polskim bić z jego przemówień kapitał, bo przeciętny mniej inteligentny czytelnik odbierał zawsze wrażenie, że pan minister radby z duszą i kośćmi nieba przychylić Polakom, ale tylko ci agitatorzy tak mu sadła za skórę nalewają i przeciw nim te całe filipiki; zresztą społeczeństwu polskiemu bynajmniej nieżyczliwym nie jest, a jeśli w danym razie zgrzeszył nieznajomością stosunków, to przecież jako minister nie może być dokładnie poinformowany o wszystkiem. Nawet inteligentne pisma w czasie przyjazdu ministra do Poznania pisały, że „dobrze by było, gdyby minister miał sposobność poinformowania się na miejscu o wszelkich nadużyciach.“

I tak wojował z nami ten minister. Biedny, chorował na chroniczny brak informacyi, całą winę złych stosunków zwalał na „agitatorów wielkopolskich“ — a w gruncie rzeczy, zdawało się, nie wypowiadał wojny *ludowi*.

Nie tak pan Rheinbaben. O, ten pan wsiadł od razu na wysokiego konia. Brakiem informacyi się nie tłomaczył, lecz prosto z mostu, póki jeszcze nawet nie obeschł dobrze podpis na jego nominacyi na ministra, wypowiedział nam wojnę. Komu — nam? Nie agitatorom żadnym urojonym, ale ludowi polskiemu. Nie przeciw szlachcie, inteligencyi i duchowieństwu polskiemu padały gromy z ław ministeryalnych, ale przeciw tym średnim warstwom, które zaczynają się teraz stawać rdzeniem naszego społeczeństwa, które wraz z materyalnym dorobkiem zdobywają sobie i samowiedzę polityczną i miłość ku utraconej Ojczyźnie, i nienawiść ku jej ciemięzcom i nadzieję lepszej przyszłości. „Klasa średnia polskiego społeczeństwa stała się najgorszym wrogiem rządu“ — powiada pan Rheinbaben.

Hola, panie ministrze! Więc to nie „agitatorów“, lecz cały naród, całe społeczeństwo polskie i dorastające pełnoletności politycznej jego klasy zaszczycasz rzuceniem swej rękawicy, Ekscelencyo?

Dobrze wiedzieć o tem! Te

nasze średnie warstwy dumne się czują z twego wypowiedzenia nam uczuć namiętnej niechęci, którą żywisz ku nim. Uważają sobie one za dobry znak, jeśli pracą polityczną, jeśli umiejętnością oszczędzania i przeciwdziałaniem germanizacyi potrafiły w takie oburzenie wprawić królewsko-pruskiego ministra, że aż poseł nasz p. Motty musiał mu zwracać uwagę, że namiętno-nienawistny ton jego mowy nie licuje z powagą izby poselskiej.

I sam może nie wiesz, panie ministrze, jak dalekonośne echo zbudziłeś swą mową w społeczeństwie polskiem. Wywołałeś duchy, których opanować nie będziesz w stanie, Ekscelencyo!

Do uszu najbiedniejszego wyrobnika, do uszu najuboższego rzemieślnika doszły słowa od ławy ministeryalnej, że rząd w polskich warstwach średnich widzi swego wroga — a pod wyznaniem tem wezbrało dumy uczuciem niejedno serce w prostej kapocie, mając dowód, że te dorabiające się warstwy społeczne uważa rząd za najlepszych obrońców sprawy ojczystej, za najgłówniejszą tamę w osiągnięciu celu — pochłonięcia nas, zniemczenia nas.

O, bo i ten cel stanął wszystkim jasno przed oczyma i zrozumiał każdy wyrobnik najostatniejszy, że niema zgody z rządem i nigdy jej być nie może — że Prusacy chcą nas połknąć — że on — prosty rzemieślnik stoi u sztandaru sprawy ojczystej i ma jej bronić, pracą, oszczędnością, zabiegliwością, oświatą, umiłowaniem Polski, niewymazanej z serc naszych.

Pan minister pokazał nam wszystkie swe karty; powiedział kogo uważa za wroga pruskiej sprawy i groził temu wrogowi. Zgoda. Grajmy więc w otwarte karty. Jeśli pan minister miał nam to do powiedzenia, to i nasze warstwy średnie mają też coś do powiedzenia panu ministrowi. Możemy sobie nawzajem pokazać karty.

Pan Rheinbaben mówił coś o „niewdzięczności tych warstw względem rządu, który ich dobrodziejstwami obsypał.“ Czy pan minister sądzi, że nasz rzemieślnik, nasz kupiec i przemysłowiec, nasz gospodarz wiejski jest tak ograniczony i nie poznałby się już dostatecznie, jakiego to rodzaju są owe dobrodziejstwa, któremi nas rząd obsypał? Czy my nie potrafimy ocenić, jak wiernie spełnił wobec nas rząd przyrzeczenia, które zrobił, obejmując prowincyę? Czy nie potrafimy ocenić, jakie to dobrodziejstwa mamy do zawdzięczenia pruskiej szkole, z której wyrzucony został język nasz ojczysty; jakie dobrodziejstwa widzimy w wyrugowaniu języka polskiego z urzędów i sądownictwa, w więzieniu tych, co nie umieją przed sądem zeznawać po niemiecku, w niedopuszczaniu nas do urzędów i ekonomicznem upośledzeniu, jakiego mamy dowód w komisyi kolonizacyjnej. Zaiste, piękne to dobrodziejstwa! Lecz do rzędu dobrodziejstw chciałby szanowny minister włączyć może i to ostatnie, że władze wojskowe robią przepisy co do języka, w jakim żołnierze mają się spowiadać, a więc w swym dobroczynnym rozpędzie nie cofają się nawet przed — tajemnicą spowiedzi!

Za takie i inne dobrodziejstwa dziękujemy. Umiemy je ocenić i odpowiednio kwitujemy.

Nasze warstwy średnie tak mają tych dobrodziejstw po uszy, że nigdy ich rządowi pruskiemu nie zapomną. A jeśli się takich dobrodziejstw nie zlękły, nie zlękną się też i żadnych pogróżek i sztandaru ojczystego nie odstąpią.

Więcej takich mówek, panie ministrze, a z czasem zupełnie się wyklaruje, jak nasze warstwy średnie zapatrują się na stosunek swój do rządu i jak rade by go uregulować. *Vester.*

Trzymać się ziemi!

Ogłoszony w tych dniach — tegoroczny memoryał komisyi kolonizacyjnej odkrywa dobitniej jeszcze i jaśniej, niż dawniejsze, właściwe cele tej bismarkowkiej ustawy wyjątkowej. Dotychczas uważano go głównie za jeden z najdosadniejszych środków *germanizacyi.* — Od początku wprawdzie wyrażano także przypuszczenia i obawę, że ma on na celu także *protestantyzacyą* przeważnie katolickich dzielnic polskich — ale to podejrzenie zbijali przedstawiciele rządu zawsze bardzo stanowczo, uspakajając zaniepokojonych centrowców przyrzeczeniem, że skoro tylko stosunki na to pozwolą, skoro znajdzie się odpowiedni materyał osadniczy, rząd równomiernie rozdzielać będzie osady między katolików i ewangelików niemieckich. Tymczasem mijały lata za latami, działalność komisyi wzrosła do iście potwornych rozmiarów, w stosunkach szkolnych, komunalnych a nawet kościelnych zapanowały stosunki takie, że kolonizacya katolickich osadników niemieckich jest zupełnie wykluczona — kolonistów katolików zgłasza się podobno dużo — rząd jednakże ani myśli spełnić przyrzeczenie, lecz dalej osiedla niemal wyłącznie ewangelików.

Cyfry, zawarte w memoryale przemawiają pod tym względem aż nadto wymownie! Z 130 kolonii dostało się katolikom 9 — ewangelikom 121! Skąpo licząc członków rodzin kolonistów, przypuszczać można napewno, że komisya kolonizacyjna pomnożyła dotychczas ludność ewangelicką Księztwa sztucznie — i to za pieniądze składane porówno przez oba wyznania — o 24,000 dusz.

Potrzeba było dopiero takich cyfr, aby katolikom niemieckim otworzyły się oczy nadobre. I podczas gdy dawniej zwalczano z tej strony komisyą może jedynie dla zasady — teraz padł strach na Izraela! Nawet berlińska „Germania“, która od pewnego czasu wcale niedwuznacznie popierała “łagodną“ germanizacyą, uderzyła teraz na alarm, wołając na cały głos: Polacy-katolicy w dzielnicach polskich! Trzymajcie się ziemi, nie sprzedawajcie komisyi kolonizacyjnej ani piędzi, gdyż dąży ona do zagłady katolicyzmu w waszych dzielnicach!

Przyznać się musimy, żeśmy artykuł odnośny przeczytali z szczerem zadowoleniem. Zdawało się już bowiem, że centrum, dążąc do jaknajwiększych wpływów w Niemczech, zaczyna na dobre kokietować z prądem antypolskim, że maluczko jeszcze, a powie: Żal nam was, Polacy, ale trudno; dobro państwa wymaga germanizacyi, więc *wszystko*, co w tym kierunku zarządzono, było dobre i pożyteczne. I możeby się było tak stało, gdyby rząd chociaż pozornie był okazywał wzajemność względem umizgów panów centrowców. Ale polityka pp. Miquela i towarzyszy nie reagowała na te umizgi. Przeciwnie, żądano od centrum dużo, bardzo dużo, popierania wszelkich pomysłów i projektów rządowych, a w zamian za to..... prowadzono dalej politykę anticentrową. Ostatecznie pojawił się projekt do nowej ustawy o wyborach komunalnych, projekt bardzo niebezpieczny także dla katolików niemieckich, bo zagrażający w wysokim stopniu większościom katolickim w miastach westfalskich i nadreńskich — a na domiar złego memoryał komisyi kolonizacyjnej, — który rozwiał do reszty złudzenia centrowców, nawet największych wśród nich optymistów. Przekonano się nareszcie dowodnie, że polityka pruska w niczem się nie zmieniła, że pozostała

zawsze jeszcze bardzo „kulturnicza“ — że zasady bismarkowskie zawsze jeszcze — jak przed 20 laty — są jej alfą i omegą. Wię teraz wołają do nas: „*Trzymajcie się ziemi, nie sprzedajcie ani piędzi*“, bo sprowadzicie na dzielnice wasze nietylko zagładę narodowości polskiej, *ale i zagładę wiary!*

Polacy wiedzieli już o tem dawno, od samego zainicyowania ustawy kolonizacyjnej. Jednakże może i dobrze, że nam nasz święty obowiązek trzymania się ziemi przypomniano jeszcze i z tej strony w tak dobitnej formie. Ci, którzy lekkomyślnie oddają swą ziemię lub oddać zamierzają komisyi, wiedzą teraz, że krok taki potępiać muszą nietylko współrodacy, ale — w interesie wiary — nawet i katolicy Niemcy, wszyscy wogóle katolicy, że sprzedażą ziemi na cele kolonizacyi podkopują nietylko własną narodowość, ale i Kościół w ziemiach polskich. A przecież znalazło się takich, którzy ofiarowali ziemię swą na kolonizacyą jeszcze blizko 100 w ubiegłym roku, blizko *pięćdziesięciu* większych posiedzicieli i tyluż włościan!! Jakżeż to smutne i bolesne!

Przyznać trzeba, że położenie naszych ziemian nie jest bynajmniej godnem zazdrości. Stosunki rolnicze ukształtowały się dziś tak, że ziemia wogóle mało przynosi, że dziś gleba gorsza, i gdzie także inne warunki nie sprzyjają — trudno rzeczywiście powiązać koniec z końcem. Mówiono także o tem na sejmiku rolniczym w Toruniu. W znakomitym referacie swoim o *organizacyi gospodarstw* poruszył referent p. *Skórzewski* i tę kwestyę i takie mniej więcej stawił zasady: Gdy warsztat rolniczy — to jest majątek lichy i gdy mimo dobrego gospodarstwa — dla braku kapitału nakładowego nie można wydobyć z niego potrzebnego i odpowiedniego dochodu, trzeba go sprzedać i kupić inny, wdzięczniejszy — chociażby *mniejszy,* naturalnie sprzedać nie komisyi kolonizacyjnej ani obcoplemiencom. Innej rady nie ma — bo jeśli się tak nie postąpi, czeka właściciela — ruina. Ależ gdzież tu znaleść kupca na taki majątek — między swymi? Na kupno takiego lichego warsztatu odważyć się może tylko rolnik z wielkim kapitałem obrotowym, który dużo może włożyć w ziemię, a takich przecież mało między nami! Cóż tedy mają począć ziemianie, którym los przeznaczył liche warsztaty? Radzono o tem obszernie — podawano wskazówki rozmaite, zalecano nawet zalesić gorsze ziemie itd. td. — ostatecznie jednakże jako jedyne lekarstwo uznano *jaknajwiększą oszczędność.* Kto nie chce upaść ani stać się *kurczycielem ojczyzny* - musi odmawiać sobie wszystkiego, musi żyć jaknajskromniej. Trudne to zapewne zadanie — aleć gdy chodzi o ocalenie narodowości i wiary, tam wymagać można i *największego poświęcenia od wszystkich!!*

ski...

Nie bądźmy Beocyą!

I.

Świeżo znów w jednem z pism warszawskich spotkał społeczeństwo polskie w Księstwie zarzut, że w gonitwie za chlebem, za dorobkiem zaniedbuje zupełnie *duchową* stronę swego jestestwa, że w eleganckich salonach średniego mieszczaństwa rzadko tylko napotkać można szafkę z książkami, że nie mamy zmysłu dla piękna, dla sztuki narodowej, że mało u nas czytelników poważniejszych polskich pism literackich — że przeciętny nasz obywatel miejski woli kupić sobie gąsiorek wina za 8 mk. — niż książkę za talara lub bilet na krzesło do teatru itd. itd. Powtórzono w tem piśmie jednem słowem tylko zarzut, jaki prasa w Królestwie i w Galicyi podnosi przeciwko nam bardzo często, coraz częściej — a mianowicie, że stanowimy w pięknej ojczyźnie dzielnicę, która jak Beocya w starożytnej Grecyi, wyróżniała się wśród innych dzielnic gnuśnością duchową i pogardy godnem nieuctwem.

Czy zarzut to słuszny — czy też wyrządza nam krzywdę? Naszem zdaniem i jedno i drugie. Zanadto źle, tak źle — jak to przedstawiają niektórzy u nas jeszcze nie jest — jednakże pod wielu względami mogłoby być lepiej. Uderzmy się tylko w piersi i przyznajmy do winy, przyznanie takie już zmniejsza winę i otwiera na rozścież wrota *poprawie.* Toć do niedawna jeszcze nie mogło się u nas utrzymać żadne chociażby najskromniejszych rozmiarów pismo beletrystyczno-literackie. Wszystkie upadały po roku, po kilku latach najpóźniej, narażając wydawców na znaczne straty — a równocześnie budząc zniechęcenie w kołach piszących. Pierwszy wyłom o tej przykrej a nawet upokarzającej dla społeczeństwa regule uczyniła dopiero „*Praca*“. Jej także nie przepowiadano długiego życia — lecz omyliła wszelkie tego rodzaju pesymistyczne przepowiednie, przetrwała nietylko początki najtrudniejsze, — ale ciągle jeszcze rozwija się bardzo pomyślnie. Co z tego wnosić można? Jestże to objawem dokonującego się zwrotu w usposobieniu społeczeństwa, czy też jedynie owocem zręczności i sprężystości, a przedewszystkiem ofiarności i wytrwałości wydawcy? Niestety, co do mnie, to przechylam się ku drugiemu przypuszczeniu; pomyślny rozwój „Pracy“ przypisuję głównie wyż wymienionym zaletom wydawcy — jeśli zaś równocześnie widzę w nim także objaw powolnego przeobrażania się gustu i zmysłu publiczności, to ten objaw uważałbym jedynie za *skutek* i najpomyślniejszy sukces poprzedniej przyczyny.

Niechże atoli będzie -- jak chce — piękny rozwój „Pracy“ jest faktem i uprawnia do nadziei, że pismo to przy dalszym równie uznania godnym kierunku zdoła dodatnio wpłynąć na usposobienie szerokich kół społeczeństwa naszego, że oddziaływać będzie ożywczo na umysły zgnuśniałe, no i częściowo chociaż oczyści nas z zarzutu, iż już zupełnie niedbamy o duchową stronę życia.

Pismo dobrze redagowane zdziałać może dużo, ale nie *wszystko.* Aby całe zło usunąć, na to potrzeba współdziałania innych jeszcze czynników, mianowicie *szkoły, domu rodzicielskiego i Towarzystw.* Szkoła niestety u nas zupełnie wypada z rachuby. Co więcej, właśnie dzisiejsza szkoła jest jedną z głównych przyczyn umysłowego gnuśnienia naszego. Daje nam ona pokarm *obcy,* którego strawić ani do którego zapalić się nie możemy, tego, czego łakną serca i umysły młodzieży, co od razu rozbudziłoby w niej zapał do piękna, prawideł języka ojczystego, ojczystych dziejów i ojczystego piśmiennictwa — szkoła nie uczy — przeciwnie, często nawet wpaja w umysł dziatwy wprost lekceważenie i pogardę dla tych skarbów ojczystych. Tak tedy nietylko na szkołę liczyć nie można, ale należy nawet uzupełniać to, czego nie daje, naprawiać to, co błędne wychowanie popsuło i spaczyło. To zaś jedynie dokonywać możemy i musimy w domu, *w rodzinie;* a właśnie tu za mało się działa, za mało pracuje w tym kierunku.

Przypatrzmy się tylko podarkom, jakie otrzymuje młodzież w przednich domach mieszczańskich lub i wiejskich na „*Gwiazdkę*“ i *imieniny.* Znajdziemy tam dużo najrozmaitszych rzeczy, często drogich i wprost zbytkownych — jak rzadko napotykamy zaś... książkę polską. Skarzymy się, że książki polskie drogie; być może, że to prawda, chociaż nie ze wszystkiem, gdyż często za pieniądze wydane na lada fatałaszkę najpiękniejszą książkę kupić by można. Ale chociażby tak było — toć naprawę złego sami mamy w ręku — tylko się o nią nie staramy. Nie można się dziwić nakładcom, że biorą słone ceny, jeśli mogą liczyć na odbyt kilkuset zaledwie egzemplarzy. Nie brakło u nas wyborców, którzy tę obojętność, tę formalną niechęć do książki polskiej wśród szerokich kół średnich właśnie stanów społeczeństwa naszego przełamać pragnęli i usiłowali niskiemi cenami. Lecz jakiż był skutek tych szlachetnych zamiarów? Otóż za tanią cenę rozeszło się też tylko tyle egzemplarzy,

ile byłoby się rozeszło po cenie droższej. I tak społeczeństwo nie miało z tego pożytku, a wydawcy mieli szkodę i tracili chęć do tego rodzaju przedsięwzięć. Nie wydawcy, lecz odbiorcy mogą dyktować ceny. Niech tylko pokup na książki u nas się wzmoże, a wydawcy nie omieszkają już wyciągnąć z tego słusznych konsekwencyi.

Zatem drogość książek nie jest wymówką dostateczną, iż się u nas tak mało książek kupuje. Zresztą można dostać już za bajecznie niskie ceny, nie ustępujące w niczem cenom książek niemieckich lub francuzkich, nawet arcydzieła naszych klasyków i najsławniejszych wieszczów. Toć wszystkie pisma Mickiewicza kosztują w pięknem wydaniu Miarki tylko *talara!* Taniej już dwóch tomów grubych sprzedawać nie można, lecz ciekawiśmy bardzo, ile też rozeszło się dzieł tych na tegoroczną gwiazdkę? Wątpimy, czy z 500 — a tu rodzin stanu średniego mamy w zaborze pruskim dobrze ze 100,000!! *X.*

Wiek dziewiętnasty.

VI.

Wojna francuzko - niemiecka stworzyła nowe cesarstwo niemieckie, we Francyi zaprowadziła republikańskie rządy, postawiła zjednoczone Niemcy w rzędzie pierwszych mocarstw europejskich, Francyą zaś zepchnęła z dominującego stanowiska, jakie dotąd wśród narodów zajmowała. Takim był wynik wojny z r. 1870, a wynik ten stoi w najściślejszym związku z rokiem rewolucyjnym 1848 w tym i w owym kraju, jest niejako ostatecznym owocem rewolucyi z roku 1848 w Niemczech i we Francyi. Bo od tego to roku odzywały się w Niemczech coraz to wyraźniej głosy żądające zespolenia bratnich niemieckich szczepów, występowały coraz jawniej i coraz dobitniej usiłowania i prace do tego zwrócone celu, i one to stworzyły z Niemców północy i południa jeden wobec nieprzyjaciela z za Renu zgodny i wspólnie działający naród, „ein einig Volk von Brüdern“, i dały narodowi temu siłę i moc stawienia czoła nieprzyjacielowi i zwyciężenia go w boju.

We Francyi zaś ten rok 1848 wytworzył owo społeczeństwo bankierów i fabrykantów zmateryalizowanych, wyprawiających pod opieką Napoleona III gody kosztem stanu roboczego, kosztem proletaryatu. Napoleon wprawdzie silił się dolę robotników poprawić, lecz środkami swemi nie zdołał zadowolić żądań tych, którzy się w czasie rewolucyi 1848 r. widzieli przez bankierów i fabrykantów oszukanymi i wyzyskanymi. To też kiedy to społeczeństwo burżoazyjne rozbawione a goniące za zyskiem, gadatliwe i chełpiące się, w walce z nieprzyjacielem okazało się bezsilnem i klęskę po klęsce jedną od drugiej straszniejszą poniosło, tedy już po upadku cesarstwa francuzkiego, skorzystał proletaryat z jego niemocy i wszczął wewnętrzne rozruchy. Komuna paryska z roku 1871 i wywołana przez nią walka i rozlew krwi wśród Francuzów, uczyniły obronę wobec wroga - najezdcy tem trudniejszą, klęskę Francyi tem cięższą i zupełniejszą.

Do dzisiaj jeszcze żyjemy pod wpływami, powiedzmy pod znakiem tej to wojny francuzko-niemieckiej. Francya dotąd napróżno sili się wedrzeć na stanowisko dawniej w Europie zajmowane i szuka pomocy w sojuszu nawet z Rosyą; Niemcy zaś rozpierają się szeroko na raz zdobytem stanowisku i rosną w pieniądze, dobrobyt, siłę, znaczenie i butę.

Co właściwie znaczy z ogólno-historycznego, bezstronnego stanowiska to utworzenie się nowego cesarstwa niemieckiego pod wodzą Prus? Pytania tego nie rozumiemy tak, abyśmy chcieli odpowiedzieć co znaczą i co zrobią Niemcy pod egidą Prus w przyszłości i dla przyszłości, — któż by się silił jej znamię wyczytać — ale jedynie jakim jest ogólny wniosek, jaką jest ogólna prawda, do której przychodzimy, patrząc w przeszłość na powstanie i rozwój państwa pruskiego.

Otóż tutaj każdy, czy Prusak z krwi i kości, czy wróg Prusaków najzaciętszy zgodzić się na to musi, że wzrost Prus i potężne stanowisko, jakie obecnie zajęli, są dowodem tego, co mogą silne, rozumne rządy wytrwałych władców.

Fakt ten pozostaje niezbitym, że z nieznacznych i nikłych początków ręka władających Hohenzollernów wywiodła Prusy do tej wysokości, na jakiej dziś stoją, oni dopiero, Hohenzollerny, stworzyli pracą swoją po przez wieki sięgającą narodowość pruską i postawili tę narodowość na czele niemieckich szczepów.

Fakt ten tłomaczyć teraz można najróżniej, stosownie do swojego osobistego stanowiska; Niemcy niektórzy głoszą, że Prusy względnie Hohenzollerny zdaje się byli i są przez Opatrzność powołani do spełnienia tej wielkiej misyi dziejowej i wskrzeszenia cesarstwa niemieckiego, na które napróżno z dawna czekał Fryderyk Rudobrody w górach Kyffhäusern zaklęty, — tłomaczeniu takiemu nie można odmówić pewnej subjektywnej, poezyą zaprawnej prawdy. Ale nie mniej odzywają się sądy, również na faktach przeszłości oparte, że to królestwo pruskie wyrosłe na zdradzie i kłamstwie i królestwa tego wzrost jest po prostu urągowiskiem wszystkiemu temu, co prawdę stanowi, i że patrząc na dzisiejszą państwa tego wielmożność zwątpić można w zwycięstwo prawdy i dobrej sprawy.

Tak różnie może tłomaczyć jeden i ten sam fakt historyczny różne osobiste stanowisko!

Idea narodowościowa stworzyła dzisiejsze cesarstwo niemieckie i ta idea zaprawiona do dzisiaj nieco ideą państwową, kieruje pod koniec naszego wieku jeszcze ogólnym ruchem politycznym w Europie.

Na tem kończymy ten pobieżny rzut oka na ogólny ruch myśli politycznej w Europie w dziewiętnastym wieku; w następnych artykułach przyjrzymy się bliżej poszczególnym objawom społecznym, czyli socyalnym w tymże wieku. *Poznańczyk.*

Rozwój techniki w dziewiętnastem stuleciu.

II.

Zastósowanie pary do wykonania jakiejś pracy mechanicznej, której to użycie w motorze parowym tak ważną odegrało rolę w rozwoju techniki i przemysłu w stuleciu XIX, sięga dawnych już czasów.

Roku 1695 wykonał Papin pierwszy, co prawda bardzo niedoskonały model „maszyny“ parowej. Wytworzona przez ogrzanie wody para zostaje skroploną przez zewnętrzne oziębienie, i wywołuje przez to poruszenie tłoka, czyli przegrody w cylindrze, w którym się znajduje. Savary zużył tę zasadę r. 1699 do pom-

powania wody; pierwszą zaś maszynę o większych rozmiarach, w podany przez Papin'a działającą sposób, zbudował Newcomen r. 1705.

Wszystkie te maszyny miały tę wadę, że zużywano w nich ciśnienie atmosfery na próżnią, skropleniem pary wywołaną, wywierane, jedynie po jednej stronie tłoka, a więc w sposób bardzo nieracyonalny. Właściwym twórcą doskonalszej maszyny parowej jest genialny James Watt. Pierwszy swój motor parowy, do wszelkich nadający się zastósowań, skonstruował on r. 1768.

Motor ów działa w zasadzie w ten sam sposób, w jaki i w naszych najnowszych, najdoskonalszych maszynach siła pary zużytą zostaje.

Wytwarza się parę, posiadającą pewne naprężenie, i wpuszcza przez jeden z dwóch obustronnych kanałów do cylindra, w którym znajduje się tłok szczelnie przylegający. Równocześnie łączy się drugą stronę cylindra z przyrządem, ssącym powietrze, czyli wytwarzającym próżnią. Silne ciśnienie, w ten powstające sposób, wypycha tłok na drugą cylindra stronę, i wprowadza równocześnie w ruch obrotowy korbę, na którą działa pręt, do tłoka przytwierdzony, przechodzący szczelnie przez przednią cylindra ścianę.

W chwili, gdy tłok znajduje się w pobliżu drugiego końca cylindra, wpuszcza przyrząd, maszynę sterujący, naprężoną parę na drugą stronę tłoka, pierwszą zaś łączy odwrotnie z przyrządem ssącym, „kondenzatorem“ zwanym. Tłok porusza się naturalnie z powrotem; otrzymuje on w ten sposób poruszenia naprzód i w tył, wywołujące ciągły obrót korby.

Ulepszenia motoru parowego, we wieku XIX dokonane, polegają w zasadzie na ulepszeniu przyrządów sterunkowych, na użyciu coraz to wyższych naprężeń pary i zastosowaniu dwóch lub więcej cylindrów zamiast jednego, w których to wysoko naprężona para stopniowo działa, oraz na ciągłem zwiększaniu szybkości obrotów.

Poszczególne omawianie tych udoskonaleń przekraczałoby zakres naszej pogadanki. Wystarczy nam zrozumieć przewodnią myśl, oraz cel tych ulepszeń.

Przez doskonałe urządzenie i wyrafinowane unormowanie dopływu, zamykania i odpływu pary w przyrządach sterunkowych umożliwiono doskonale racyonalne i ekonomiczne jej zużywanie; do tegoż także celu prowadzi użycie „kondenzatora“, tudzież użycie wysokich naprężeń pary, oraz kilku cylindrów zamiast jednego. Koniecznem było dla umożliwienia tych ulepszeń wydoskonalenie fabrykacyi kotłów, gdyż pierwotne kotły z lanego żelaza małe tylko znosiły naprężenia pary.

Powiększenie w końcu szybkości obrotów maszyn ma przedewszystkiem na celu zyskanie czasu przy wszelkich możliwych wykonywaniach i zastósowaniach; w drugiej linii umożliwia ono wytwarzanie wielkich prac przez małe stósunkowo maszyny — w porównaniu do prac bardzo wielkich motorów wolno chodzących.

Potrzeba zwiększenia ilości obrotów w pewnem czasie oddziałała w charakterystyczny sposób na rozwój budowy wszystkich bez wyjątku maszyn w stuleciu 19-tem.

Wielkie i niezgrabne, chociaż często swemi masami w podziw wprowadzające maszyny wolno chodzące — w dziedzinach górnictwa, hutnictwa, pump, dostarczających miastom wody, pump kanalizacyjnych, maszyn do zgęszczania powietrza, do wytwarzania zimna — itd. znikają coraz to więcej z widowni, ustępując miejsca misternym szybkochodzącym, małym stosunkowo maszynom.

Rozwój maszyn parowych wogóle został spowodowanym, jak już wspomnieliśmy, potrzebą wykonania wielkich prac, jakich siłami ludzi i zwierząt nie można wytworzyć.

Widzimy też postępujący z nim ręka w rękę rozwój wszelkich gałęzi technicznych we wieku 19. Motory parowe umożliwiły sposób fabrycznego produkowania wszelkich przedmiotów. Centralna maszyna parowa wprowadza w ruch setki maszyn do nadawania kształtu materyałom surowym, porusza tokarnie, wiertalnie, frezery, heblarki itd.

Wyrastają, jak grzyby po deszczu, najgenialniejsze specyalne maszyny kształtujące — maszyny, wytwarzające n. p. z pręta metalowego automatycznie najrozmaitsze gotowe śrubki, heblujące n. p. od razu cztery strony kawałka drzewa we wszelkich fasonach, itp. Całe gałęzie przemysłu, jak tkactwo i przędzalnictwo, fabrykacya papieru, młynarstwo, produkcya i przerabianie rud w górnictwie i hutnictwie, fabrykacya ciał chemicznych, itp. wchodzą na zupełnie nowe tory, rozwijają i udoskonalają się w nadzwyczajny sposób.

Ceny wyrobów wszystkich tych gałęzi przemysłu ogólnie się obniżają — często, co prawda na koszt jakości — i stają się dostępnemi mniej zamożnym. Praca ręczna, przemysł mały, tylko w pewnych przemysłowych dziedzinach zdolne są do zachowania swego bytu — mianowicie w tych, których wyroby indywidualną mistrza cechę zachować muszą — i których w żaden sposób robotą maszynową nie można wykonać. Ginie także i zręczność poszczególnych ludzi wykonujących; robotnik we fabryce służy tylko jako regulator maszyny, wprowadza ją w ruch i zatrzymuje w danym momencie, wkłada w nią materyał surowy, odbiera wyrób gotowy.

Nie naszą rzeczą jest zastanawiać się nad ekonomiczno-socyalną stroną rozwoju produkcyi fabrycznej; tę tylko jej ujemną wypada zaznaczyć nam stronę.

W dalszym ciągu omawiania rozwoju zastosowań motorów parowych we wieku XIX spróbujemy rozwinąć ważność jego w dziedzinie transportu ludzi i przedmiotów na lądzie i na morzu.

W. S.

Z TYGODNIA.

Anglicy święcili pierwszy swój tryumf w Transwaalu. Generał Roberts doniósł swemu rządowi, że postanowił uderzyć na obóz Cronjego, generała Orańczyków i świetnie wykonanym manewrem udało mu się zająć pozycyę tak silną wobec Boerów, że zmusił ich do poddania się, ponieważ miał w ręku cały ich obóz. Roberts zażądał, aby Cronje sam przybył do obozu angielskiego, i aby wojska boerskie, złożywszy broń w obozie, opuściły swe stanowiska. Wziętego do niewoli Cronjego wysłano w towarzystwie oficera angielskiego do Capetownu, a wojsko jego partyami odstawiać zaczęto w tym samym kierunku. W prawdziwe zdumienie wprawia znawców wojskowych wiadomość, że Cronje miał zaledwie 3 tysiące żołnierza. Zdaje się trudnem do wiary, żeby z tak małemi siłami wódz orański zdołał był dokonać to, czego dokonał. Gdy dostał się do niewoli, otaczały go wojska Robetsa w liczbie 30 tysięcy, a on poprze-

dnio trzymał długi czas w szachu 12 tysięcy wojsk Methuena.

Roberts zwyciężył, bo po jego stronie była siła, ale nawet w oczach Anglików Cronje jest bohaterem.

Do ostatka nie tracił on ducha. A kiedy, znając jego rozpaczliwe położenie, zaproponowali mu Anglicy, że wypuszczą będące w obozie Boerów kobiety, i że przyślą lekarzy, on odrzucił propozycyę, mówiąc, że Boerzy zupełnie dobrze czują się w obozie.

Wiele pism, poinformowanych u źródła, utrzymuje, że teraz nadeszła chwila do interwencyi mocarstw, które nie pozwolą Anglikom pastwić się nad małem państewkiem Boerów. Duma Anglików wzrosła niesłychanie, a na wieść o zwycięztwie Robertsa odezwał się w parlamencie jeden z ministrów, że choć cały świat mają Anglicy w tej wojnie przeciw sobie, przecież zwyciężyć muszą i zwyciężą.*)

W Austryi rozpoczęły się już zwykłe szopki parlamentarne. Nie interesują one zresztą zbytecznie opinii publicznej, która bardziej może interesuje się inną palącą sprawą — mianowicie sprawą strejków. Strejk górników trwający od kilku tygodni w Czechach coraz groźniejszą przybiera formę. Węgla jest tak mało, że niektóre szkoły, muzea, i inne zakłady publiczne pozamykano, a kilka fabryk przestało funkcyonować. W Pradze biedacy opalają swe małe izdebki sprzętami domowemi. Ceny węgla dochodzą do niebywałej wysokości.

Strejkujący w jednym z największych ognisk, kopalń węgla — Kladnie, stoją przy swych żądaniach i zachowują się tak spokojnie, że przysłane wojsko do uśmierzania spodziewanych rozruchów — dotąd jest bezczynne. Strejkujący zbierają się na liczne zgromadzenia, urządzają sobie koncerty, wogóle nie tracą spokoju, do czego znacznie się przyczyniają napływające ofiary pieniężne całego niemal społeczeństwa czeskiego. Rząd wysyła delegatów do środowisk strejku Morawskiej Ostrawy i Kladna dla przeprowadzenia ugodowej akcyi między właścicielami kopalń a pracownikami. Konferencye te nie przynoszą jednak pożądanych rezultatów. Pierwszego lutego aresztowano górnika Austena, przywódzcę strejkujących w Kladnie. Oczekiwane po tym wypadku rozruchy zawiodły władzę, górnicy bowiem zachowali się zupełnie spokojnie. Na drugi dzień w Pradze, robotnicy, po walnem zgromadzeniu, powracali tłumnie śpiewając różne pieśni i domagając się węgla. Ogólna liczba strejkujących przeszła już 50 tysięcy.

*) W sprawie tej rozpisujemy się obszerniej w osobnym artykule pod tytułem „Z teatru wojny.“ — Przyp. Redakcyi.

Z Warszawy donoszą, że uczniowie gimnazyum przyaresztowani niedawno na jednem zebraniu, zostali wypuszczeni, zatrzymano zaś tylko trzech jeszcze, mianowicie Dembskiego, Ehrenkranza i Starzyńskiego. Pewną część uwięzionych studentów przyjęto napowrót do szkół. Nic dotychczas nie wiadomo, o co rząd oskarża uwięzionych jeszcze młodzieńców.

Jest nadzieja, że i inne aresztowania w również zadawalniający sposób zostaną załatwione przez wypuszczenie więźniów na wolność.

Pogłoska o dymisyi Imeretyńskiego nie sprawdza się. Imeretyński powrócił z Petersburga, podobno bardziej w łaskach u cesarza, niż dotychczas. K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Dnia 10 listopada 1899 r. skazał sąd ławniczy w Katowicach hutnika Ludwika L. na dzień aresztu za to, że jako świadek nie chciał mówić po niemiecku. Policyant Heiduk na sądzie w Katowicach zeznał jako świadek, że L. umie po niemiecku. Na tej to podstawie oskarżony został skazany. Donosił o tem w swoim czasie **„Katolik“**, nadmieniając, przytem, że policyant który taką przysięgę składa, dobrze sobie powinien rozważyć, co zeznaje pod przysięgą. O to wytoczyła prokuratorya redakcyi „Katolika“ proces, który się toczył przed dwoma tygodniami w Bytomiu. O procesie następujące znajdujemy sprawozdanie w tem piśmie:

„W terminie 15-go lutego przed sądem ławniczym w Bytomiu pokazało się, że policyant Heiduk nie znał bliżej owego hutnika i tylko jedyny jeden raz z nim mówił, gdy mu kiedyś przyniósł mandat karny. Wtenczas według twierdzenia policyanta mówił ten z owym hutnikiem tylko około 5 minut, a mianowicie tłómaczył mu się ów hutnik, iż kary nałożonej nie może naraz zapłacić, lecz pragnąłby na dwa razy ją płacić. Choć policyant tylko raz przez krótki czas mówił ze świadkiem, to jednak dziwnym sposobem uważał się za powołanego do osądzenia tego, czy świadek umie dostatecznie i tyle po niemiecku, aby mógł pod przysięgą bez obawy zeznawać na sądzie.

„Wobec tego oskarżony redaktor oświadczył, iż służbę swoją ze szablą przy boku policyant może dobrze spełnić, ale ponieważ policyant nie jest żadnym uczonym i językoznawcą, dlatego też nie może osądzić, czy ów hutnik rzeczywiście tyle potrafi po niemiecku, aby mógł świadectwo złożyć, i to złożyć pod przysięgą, w której Boga na świadka prawdy powołuje. Adwokat p. Czapla zaś bronił i zwracał uwagę na to, iż przecież nie można żądać od świadka zeznawania po niemiecku, choćby ten nawet niecoś wyrazów, n. p. handlowych lub innych prostych, umiał po niemiecku. Sąd ławniczy jednak uznał w artykule obrazę, a mianowicie posądzenie policyanta o lekkomyślną przysięgę i skazał oskarżonego redaktora na 100 mk. kary i koszta.“

Jak to się jednak człowiek nieraz może pomylić! Każdy chyba, czytając to sprawozdanie „Katolika“, odnosi wrażenie, że oskarżonemu dowód prawdy najzupełniej się udał i że wobec tego ów policyant, zdradzający tak wybitne językoznawcze zdolności, raz na zawsze będzie musiał kwitować z karyery rzeczoznawcy sądowego do spraw, gdzie chodzi o język polski. A jednak! — redaktor „Katolika“ został skazany. Trudno wobec tego nie powiedzieć sobie: szczególniejszy pech zawisł nad tymi biednymi redaktorami polskimi.

Zato Niemcom, może i dlatego właśnie że są Niemcami, często udaje się przeprowadzić dowód prawdy w sprawach, gdy oskarżają władze pruskie o nieprawne postępowanie z Polakami. Udało się to niedawno temu redaktorowi **„Maerkische Volkszeitung“**; pisze o tym procesie **„Kuryer Poznański“**:

„Autor opisywał wprost niesłychane stosunki katolickich dzieci szkólnych w Rostarzewie nad Obrą. Katolicka „Märk. V.“ skrytykowała ostro tamtejsze stosunki, podnosząc z oburzeniem, iż przymusza się tam katolickie dzieci do pobierania ewangelickiej nauki religii. Z powodu tej krytyki stawał w sobotę przed sądem berlińskim redaktor wzmiankowanej gazety, oskarżony o obrazę ewangelickiego nauczyciela w Rostarzewie. Rozprawy sądowe atoli wykazały, że katolickie dzieci musiały brać udział w ewangelickiej nauce religii od 8—9 rano, że zajmowały te same miejsca, co na innych lekcyach, że je pytano, że im powiedziano, iż mają kupić albo pożyczyć sobie książki do ewangelickiej historyi biblijnej, której musiały się uczyć. Kilkoro dzieci zeznawało, że otrzymywały chłostę, gdy nie umiały dobrze historyi biblijnej. Pewien chłopiec oświadczył, że musiał nauczyć się na pamięć pieśni Lutra „Eine feste Burg“. W skutek ukazania się artykułu w „Märk. V.“ złe ustało. Sąd naturalnie uwolnił redaktora od wszelkiej winy po tych zeznaniach świadków. Cóżby to się stało, gdyby tak nauczyciel katolicki przymuszał protestanckie dzieci do nauki katolickiej religii!!“

Zapewniamy jednak czytelników, że gdybyśmy tak naprzykład dwa razy tyle dowodów zgromadzili przeciw nauczycielowi w Rostarzewie, ile ich zgromadziła niemiecka gazeta, po ogłoszeniu odnośnego artykułu oczekiwalibyśmy nieuchronnego skazania, ba, może nawet czego gorszego, bo wprost oskarżenia, że napastujemy w niegodny sposób najuczciwszego i najlepszego pod słońcem obywatela. Tak to się dzieje z gazetami polskiemi. Niedość, że w procesie skażą, ale jeszcze potem w gazetach niemieckich opiszą jako napastników. Nasuwa nam takie myśli apostrofa następującej treści, wymierzona przeciw tylekrotnie skazanej gazecie Grudziądzkiej — przez **“Kölnische Zeitung“**, w której, między innemi czytamy:

„Z okazyi rokowań w sprawie utwo-

rzenia katolickiego fakultetu przy uniwersytecie w Strasburgu, stanęła wielka część prasy centrum w uznania godny sposób na stanowisku niemiecko narodowem. Podobne uwzględnianie narodowego poczucia ułatwiłoby centrum wielce to, gdyby prasa centrum zechciała komunikować brzydkie obelgi, jakich sobie pozwala polska prasa, rzec można bezustannie, przeciw Niemcom i Prusom... Jest to rzeczą pożałowania godną, że prasa centrum zwykle systematycznie nie widzi takich wycieczek i że przez to tylko umożliwia to, iż w jej czytelnikach utrzymuje się mniemanie o biednych uciśnionych Polakach, którzy w śnieżnobiałej niewinności zawsze tylko bronić się muszą przeciwko zaczepkom wilków hakatystycznych“.

Pod tytułem: „Nowa krzywda“ donosi gnieźnieński „**Lech**“ o tem, że naczelny prezes odmownie odpowiedział na podanie mieszkańców Gniezna, zrobione w ministerstwie w sprawie reformy wyborów i podziału Gniezna na okręgi wyborcze. Podając fakt ten pisze wzmiankowana gazeta:

„Konstatujemy więc raz jeszcze, że Gniezno jest jedynem miastem, gdzie trzecia klasa pomimo, że ma około 1100 wyborców głosuje bez podziału na okręgi. Ponieważ liczba wyborców jest nadto wielką, aby w kilku godzinach oddanie głosów wszystkich wyborców było możebnem, przeto głosuje się dwa dni. Podług tej zasady musiałby Poznań cały tydzień, a Berlin przez pół roku odbywać głosowanie. Ten system głosowania niezmiernie ułatwia Niemcom i żydom głosowanie.

„Po pierwszym dniu jest jeszcze sposobność i czas pościągać urzędników kolejowych, będących pierwszego dnia w koniecznej służbie lub w drodze na dzień następny i sprowadzić za kołnierz opornych czasem żydków. Żydki nasze przed wyborami mówią: „Müssen „mer“ doch zaigen, dass „mer“ auch sind „Daitsche“ (wenn's nischt kost),“ ale w dniu wyborów ten i ów częścią ze względu na polskich odbiorców, częścią dlatego, że walka „gojów“ go nie interesuje, stchórzą i schowają się. Wybory ciągną się jednak przez dwa dni, więc zawsze jest czas ich odszukać i za kark do urny wyborczej przyprowadzić. W każdym razie sam fakt, że ludność polska licząca w Gnieźnie dwie trzecie całej ludności i płacąca znaczne podatki nie ma sposobu wybrania choć jednego radnego miejskiego piętnuje dostatecznie cały system wyborczy jako niesłuszny i niesprawiedliwy. My Polacy, odpowiedź, jaką nam p. Bitter, naczelny prezes Księstwa, z polecenia p. ministra Rheinbabena przysłał, składamy do innych krzywd nam wyrządzanych. Niemcy wymawiają naszym posłom w izbie poselskiej dobrodziejstwa rządu wyrządzane Polakom. Czy to też ma być dobrodziejstwem dla trzynastu tysięcy mieszczan gnieźnieńskich, że podług systemu wyborczego nie mogą wybrać swych polskich reprezentantów do rady miejskiej tylko dlatego, że pan minister wzbrania się wkroczyć w atrybucye magistratu i nie chce go zmusić do urządzenia wyborów w jeden dzień i do podziału miasta na okręgi?“

Takie upośledzenie Gniezna powinnoby pod pewnym względem na dobre wyjść żywiołowi polskiemu. Powinno by zachęcić do tem żywszego zajmowania się organizowaniem towarzystw i rozbudzaniem polskości na przekor ministrowi, który sądzi, że biurokratycznemi swemi środkami zdoła stłumić w nas ducha. *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Śrem, 7. 3. 1900.

Szanowny Panie Redaktorze!

Całem sercem przesyłam Bóg zapłać za zamieszczenie artykułu wraz z illustracyami zakładu — nie wiem kto pisał, alem serdecznie zań wdzięczna!

Co do korespondencyi ze Sremu, o nieprzyjmowaniu uczennic z miasta, pozwalam sobie przesłać sprostowanie, z prośbą o łaskawe zamieszczenie tegoż w „Pracy“.

Korespondent jest źle poinformowany w tej sprawie. Już przed dwoma laty, gdy mi stawiano ten sam zarzut, ogłosiłam przez plakaty drukowane, które służący zakładowy rozniósł po mieście, i które przez czas dłuższy, w składach polskich wywieszone były, że zakład przyjmuje uczennice z miasta na pojedyńcze kursa, tak w szwalni, jak w kuchni i pralni. Sądziłam, że miasto ogłoszenie z zadowoleniem przyjmie i na początek choć kilka uczennic przyśle — tymczasem nie znalazła się ani jedna uczennica. Dopiero w kilka miesięcy później zameldowała się jedna na kurs rzeźby i dwie uczennice na kurs kroju bielizny. — Obecnie uczennica jedna uczęszcza z miasta — druga, która mieszka w zakładzie, pochodzi z okolicznej wioski.

Ta obojętność Sremu bolała mnie zawsze i boli, ale sądzę, że nie wypływa ona ze złej woli, jedynie z tego, że prócz kilku osób, związanych ze mną czy towarzyskiemi stosunkami czy interesem, nikt zakładu nie zna, nie zwiedzał go nigdy — nie zna ani planu, ani systemu jego — nikt też nie zna dążeń i celu jego. Czasby był, aby się położenie rzeczy zmieniło; w interesie obydwóch stron leży, ażeby się poznać wzajemnie — obydwie strony mogą tylko przez to zyskać.

Odzywam się zatem raz drugi, ze serdeczną prośbą do wszystkich szanownych rodziców, księży i opiekunów miasta Śremu i okolicy, aby nie mijali obojętnie domu mego, aby przy sposobności raczyli zajrzeć, zobaczyć, wypytać i omówić kwestye, które ich ze względu na córki interesują. Że zaś położonego zaufania zakład nie zawiedzie, śmiało twierdzić mogę, dając dowód, że, z małemi wyjątkami, 200 uczennic pozamiejscowych, których listy tchnące i przywiązaniem i wdzięcznością, świadczą, że znalazły i wywiozły z zakładu to, czego pragnęły.

Każdego dnia po południu jestem na usługi zwiedzających, gotowa i oprowadzić i żądanych udzielić informacyi.

Z poważaniem

Felicya Szczerbińska.

* * *

(Spóźnione).

Z Krotoszyna nadsyłają nam następującą na rynku podsłuchaną rozmowę:

Pan Ciekawski. Powiedz mi przyjacielu, co to mają znaczyć te wszystkie chorągwie, których tyle porozwieszano po całem mieście?

Pan Dopytalski. Jakto? czy ty tego nie wiesz? Przecież to dziś naszego króla urodziny.

Pan Ciekawski. Patrzcie państwo! a ja nic nie wiedziałem o tem! A jakiego to króla urodziny? — pewnie to bohatera Jana Sobieskiego.

Pan Dopytalski. Nie wiedziałem, żeś taki ciemny. To tego cesarza są przecie urodziny, co w Berlinie mieszka.

Pan Ciekawski. A to mów przyjacielu odrazu, że niemieckiego cesarza urodziny, to cię będę rozumiał.

Pan Dopytalski. A żebyś wiedział, jak to pięknie wszystko ustrojone! Chodźmy się przejść po rynku, to sobie obejrzymy wszystko.

Pan Ciekawski. A no chodźmy.

Pan Dopytalski. Patrzcie — kto to tak ładnie ustroił tu okno chorągwiami?

Pan Ciekawski. A widzisz przecież firmę — że żydowska.
A tam dalej kto to ustroił?

Pan Dopytalski. To Niemiec — hakatysta.

Pan Ciekawski. Ale przyjrzyj się kto tam bogato ustroił okna. Czy to też Niemiec hakatysta, albo żyd?

Pan Dopytalski. Ale gdzie zaś. Przecież to jest sekretarz naszego Sokoła, co tak ustroił sobie ładnie.

Pan Ciekawksi. Patrzcie, patrzcie! Człowiek w Krotoszynie sobie siedzi, a wcale nawet nie wie, że to mu pod nosem prawie takie cuda się dzieją. Chodźmy też się przyjrzeć, jacy to inni kupcy polscy ustroili także okna.

Pan Dopytalski. A jakże, ustroili, — jacyś nowi kupcy, ale nazwiska zapomniałem.

Pan Ciekawski. Ale patrz no tam dalej — ten skład wcale nie ustrojony. Ktoby to mógł być taki?

Pan Dopytalski. To jest Niemiec.

Pan Ciekawski. A czemuż to on nie ustroił swemu cesarzowi okna na urodziny.

Pan Dopytalski. Bo widzisz on ma tyle w oknie towaru, że musiałby zadużo sobie kłopotu zadawać z przystrojeniem, więc dał spokój, praktyczny Niemiec.

Pan Ciekawski. A nie boi się on landrata, że nie przystroił okna?

Pan Dopytalski. On sobie powiada, że na swojej zagrodzie to jest równy wojewodzie, podatki cesarzowi płaci, a w piśmie świętem powiedziano: co jest cesarskiego — cesarzowi.

Pan Ciekawski. Macie racyę. Mówicie, jak z gazety byście czytali. Wy pewnie czytacie gazetę?

Pan Dopytalski. Jeszczeby też! Czytam przecież Anzeiger krotoszyński.

Pan Ciekawski. Oj panie złoty, bo już mi z Wami cierpliwości nie staje. Ja jestem Polak i czytam naszą „Pracę“ z Poznania i wiem jakich królów mieliśmy i jak postępować powinniśmy. Oto powiedzcie tylko, dlaczego to na jubileusz papieski ci sami Polacy nie przystroili okien tak, jak dziś?

Pan Dopytalski. Widocznie się bali pokazać, że są Polakami

Pan Ciekawski. Masz racyę, bali się

oni pokazać, bo i tak niewiadomo, czy oni Polacy, czy Niemcy. Z takich to praca nie będzie miała swych czytelników, ani społeczeństwo korzyści, ani Polska dobrych synów. Jak oni się jej zapierają, tak ona się kiedyś ich wyprze.

* * * *N.*

Świecie, w styczniu.

Szanowna Redakcyo!

Donoszę, że my tu w Świeciu dość dużo „Pracy“ czytamy i jest ona ulubionem pismem tutejszych Polaków. Ubolewać jednak muszę, wiedząc, że dwa i trzy razy tyle powinni by Polacy abonować Waszego pisma, lecz niestety niejedna familia dziwną odznacza się obojętnością, o gazecie polskiej nie chce wiedzieć, a wskutek tego i o polskie wychowanie dzieci wcale nie dba. Muszę tu podać mały przykład. Pożyczyłem pewnego razu jednej panience numer „Pracy“, a pismo to jej tak się spodobało, że rada była zawsze je czytywać.

Lecz rodzice jej, choć ludzie zamożni, nie chcieli jednej marki poświęcić na zaabonowanie tego, tak pożytecznego pisma. Chcąc się więc przysłużyć tej panience, a powtóre zachęcić do abonowania tych opornych ludzi i „Pracy“ przysporzyć jednego czytelnika więcej, wyłożyłem markę z własnej kieszeni i zapisałem dla nich „Pracę“. Gdy im przyniesiono pierwszy numer „Pracy“, nie chcieli wcale go przyjąć, wymawiając się tem, że oni nie mają zamiaru abonować i płacić za to pismo i mówiąc, że marka, to im za wielki wydatek.

I ludzie ci nie uspokoili się, dopóki nie zostali zupełnie zapewnieni, że „Pracę“ otrzymywać będą darmo. Wskutek tego teraz pismo im się bardzo podoba, i mam nadzieję, że może w ten tak radykalny sposób uda mi się przełamać ich wstręt do czytania polskiego pisma. Nie żal mi przynajmniej marki, bo wiem, że lepszy z niej pożytek, niż gdy by ją wydać w restauracyi na piwko.

Takich przykładów znalazłoby się i więcej. Częstokroć młode pokolenie radeby coś polskiego czytać, gdyż w sercu polskiem się czuje, ale rodzice raczej powstrzymują, niż zachęcają te patryotyczne i prawe dążenia młodych dusz. Wielka za to odpowiedzialność spada na tych obojętnych rodziców.

Z szacunkiem
Franciszek Dunajski

* * *

Berlin.

Droga i kochana „Praco!“

Ty Matko nas wszystkich po obczyźnie rozrzuconych, z nędzą i biedą walczących Polaków, gdybyś ty wiedziała, z jaką my radością biegniemy po Ciebie co tydzień na pocztę, jak przyciskamy do piersi, wiedząc, że w Tobie znajdzie się zawsze coś od naszych drogich, w kraju pozostałych rodaków. Ty nam przynosisz ich radość lub smutek, Ty nas jakby w jedną rodzinę wiążesz. Oby to Bóg wszechmocny jak najprędzej pozwolił urzeczywistnić się marzeniom każdego Polaka, aby droga nasza ojczyzna wreszcie mogła zabrać pod białe skrzydła swego orła wszystkie swe rozproszone po świecie pisklęta!

Kochani Czytelnicy „Pracy!“ Do was, jak do znajomych bliskich i serdecznych udaję się z prośbą wielką. Jestem wdowa, mam dzieci i sama na nie pracować muszę w pocie czoła, bo moja rodzina wymarła. Mam jeszcze jednego wuja, nazywa się Franciszek Mulczyński, był młynarzem w Krobi i żonę miał z Jutrosina, z którą wywędrował do Ameryki a jego adresu dowiedzieć się nie mogę.

Wszystko, co o nim pamiętam, to jest tylko tyle, że gdy miałam 3 lub 4 lata (a działo się to 1848 roku, kiedy była wojna między Prusakami a naszemi Polakami,) mój wuj, błotem obrzucony, na siwym koniu do nas przypędził, coś z matką szybko mówił i wyszedł z nią, a kiedy wróciła do izby, weszło dwóch żandarmów, czy żołnierzy i coś zaczęli na matkę krzyczeć. Potem przystąpił do łóżka jeden i złapawszy mnie za koszulę pod gardłem wyrzucił na środek izby, potem pałaszem kłuł łóżko i pościel poprzebijał i szukał nawet w śpiżarni. Ale nic nie znaleźli i poszli sobie, zabrali ze sobą moją dobrą matkę i ojca, którego spotkali na podwórzu, a mnie porzucili samą w chacie.

Potem zjawił się wuj; gdy mnie podniósł i całował, powiedziałam mu z płaczem, że oni byli i zabrali ojca i matkę. Na te moje słowa skoczył wuj na swego siwka, popędził za nimi i podobno pozabijał dużo Prusaków, mszcząc się za mego ojca i matkę. Długi czas minął, aż wreszcie wróciła moja matka, ale ojca i wuja już nie widziałam. Moja matka zawsze mówiła, gdy słychać było dzwony kościelne: uklęknij dziecię, złóż rączki i proś Boga z matką razem za braci Polaków.

A gdy już matka konała, wycieńczona pracą nad siły, mówiła sierotom: pamiętajcie, com was o kraju świętym naszym uczyła, wuj Franciszek jest w Ameryce, może on wam będzie kiedy opiekunem. Ja miałam wtedy 13 lat. Ciężki mi był chleb na obczyźnie, a choć to tyle lat przeszło, dziś jeszcze szarpie serce tęsknota do drogich stron ojczystych. Zresztą niejeden z czytelników „Pracy“ zna te chwile lepiej może odemnie.

Ach, jakbym była wdzięczna za adres mego wuja, jeśli jeszcze żyje. Proszę więc, jeśli komu wiadomy, niech mi doniesie.

Posyłam wszystkim czytelnikom, i ubogim wyrobnikom, co „Pracę“ czytają przy świetle świeczki, i bogatym, co ją chętnie czytają, posyłam miłe pozdrowienie i życzenia najlepszego szczęścia. Ja się zdobyć na to nie mogę, aby sama do tego ukochanego naszego kraju pojechać, bo nie mam tam nikogo, przy kimby dach nad głową znaleść można.

Proszę jeszcze raz o wskazanie adresu mego wuja, a za list, co będzie kosztować, chętnie zwrócę. O tutejszych Polakach kiedyindziej kochanej Pracy napiszę. **Tekla Łuczak z Gołaś.**

Berlin, Fennstr. 14.

* * *

Konstantynopol,

Szanowna Redakcyo!

Z odległej obczyzny piszę do Was list, aby dać Wam wiadomość o Polakach, którzy tu po Turcyi rozrzuceni mieszkają. Niestety między naszą kolonią w Konstantynopolu niema wielkiej łączności i mało kto wie o rodakach. Jednakowoż wiadomo o tych, którzy do lepszych posad doszli i o których w gazetach wyczytać coś można. Jest w Trebizondzie (nad Morzem czarnem) pan Radziwonowicz inżynierem. Polaków inżynierów też spotykamy w Smyrnie (w Azyi mniejszej) również i w Adanie. W mieście Janina, w europejskiej Turcyi, jest pan Teodor Wańkowicz inżynierem naczelnym. Człowiek to ze wszech miar zacny i uczynny dla rodaków.

Nasi rodacy, o ile pochodzą ze sfer niższych, marnują się tu zupełnie z powodu braku znajomości języka francuskiego. Z językiem niemieckim, który przeważnie Polacy z Waszych stron posiadają, nie wiele można co zrobić, bo ten język tu nielubiany i nieznany. Niemców tu niecierpią a na Polaków nie umiejących po francusku podejrzliwem patrzą okiem.

Bardzo dużo tu Polaków z urodzenia — ale takich, którzy urodziwszy się w Turcyi wcale po polsku nie umieją ani mówić, ani czytać. Niestety często to wypadki zupełnego wynarodowienia się. Niedawno spotkałem przyjaciela, który szedł na pocztę oddawać jakiś pakiecik. Zapytałem go, co to jest, a on mówi do mnie ze łzami w oczach: Mój syn od lat wielu jest w głębi Azyi i choć Polak z urodzenia, po polsku wcale nie mówi. Trzymając z Poznania *„Pracę“*, ucieszyłem się, gdym znalazł tam herb polski w kolorach i ten oto herb synowi posyłam, aby tyle choć życzliwości miał dla swej prawdziwej ojczyzny, ile razy na herb ten rzuci okiem. Przez niego wtedy zapoznałem się z Waszem pismem i bardzo jestem z niego zadowolony, a Waszemu wygnanemu redaktorowi Radwanowi zasyłam życzenia.

Z szacunkiem
Adam Michałowski, (z 1863 r.)

Organizator narodowej armii
W. Ks. Poznańsk. w r. 1817, gen. Amilkar Kosiński.

Wielkie Księztwo Poznańskie zostało, jak wiadomo, utworzone na mocy traktatu wiedeńskiego w r. 1815 i przyłączone do Prus. Odnośne postanowienia państw zawierających umowę zapewniają W. Księztwu pewną odrębność polityczną w obrębie monarchii pruskiej.

Wprawdzie postanowienia traktatu wiedeńskiego rozmaicie — a bardzo dwuznacznie można było pojmować i tłomaczyć, gdyż zdawały one zupełnie prawie na łaskę i niełaskę państw zwierzchniczych wycieńczone wojną prowincye polskie, jednak w pierwszych przynajmniej latach wszystkie trzy rządy zaborcze zdawały się zamyślać utworzenie jakiejś odrębnej organizacyi narodowej.

W pierwszych latach po okupacyi Księztwa rząd pruski pojmował postanowienia traktatu wiedeńskiego w przychylnym dla Polaków sensie. W porównaniu z innemi prowincyami prus-

kiemi Wielkie Księztwo cieszyło się istotnie wybitną odrębnością polityczną.

Język polski nietylko w szkołach niższych i wyższych (mianowicie w gimnazyach w Poznaniu, Bydgoszczy, Rydzynie, — w progimnazyach w Pakości i Wschowie) pozostał językiem wykładowym, ale posiadał prawo obywatelstwa w sądownictwie i w administracyi krajowej; bito specyalną monetę zdawkową na użytek Księztwa; rząd nosił się z zamiarami utworzenia specyalnej polskiej siły zbrojnej i wchodził nawet w tym celu w układy z generałem Kosińskim. Projekt urzeczywistniony nie został, a rozmaite jego fazy, oświetlone w „*Zbiorze korespondencyi J. A. Kosińskiego*,“ *) wybornie charakteryzuje politykę, jakiej rząd pruski od samego początku trzymał się wobec swych poddanych Polaków; polegała ona na wypróbowanym już wobec Polaków systemie zaspakajania wszelkich żądań — obietnicami.

W czas jakiś po przybyciu namiestnika królewskiego, księcia Antoniego Radziwiłła, do Poznania, rząd pruski ujawnił zamiar utworzenia dla Księztwa osobnej narodowej siły zbrojnej. Jedyną trudnością, jak się zdawało, było wyszukanie odpowiedniego kandydata, któremu by można było zorganizowanie tej siły zbrojnej powierzyć. Namiestnik, ożywiony dla Księztwa i utrwalenia jego narodowej odrębności jak najlepszemi chęciami, zwrócił uwagę rządu na generała Amilkara Kosińskiego.

Generał A. Kosiński był w owym czasie po generale H. Dąbrowskim bezwątpienia najstarszym i najzasłużeńszym generałem polskim w zaborze pruskim. Kosiński, powróciwszy w r. 1803 z kampanii włoskiej jako generał brygady, odbył kampanie 1807 i 1809 roku, a w r. 1811 mianowanym został generałem dywizyi. W pamiętnej wyprawie Napoleona w r. 1812 dowodził nad Bugiem oddzielnym korpusem i cieszył się jako obywatel i jako żołnierz zasłużoną sławą. Za Księztwa Warszawskiego ozdobiony został komandorskim krzyżem *virtuti militari*. Ponieważ Dąbrowski, mianowany przez cesarza Aleksandra I wojewodą i generałem broni, zaliczał się do wojsk Królestwa kongresowego, był więc Kosiński w rzeczy samej jedynym generałem, któremu rząd pruski mógł był organizacyę siły narodowej powierzyć, jeśli o stworzeniu tejże istotnie na seryo myślał.

Za pośrednictwem księcia namiestnika, który Kosińskiego znał osobiście, nawiązał major Royer ze sztabu głównego stosunki z Kosińskim. Po pertraktacyach, które trwały kilka miesięcy otrzymał Kosiński wreszcie formalną propozycyę wstąpienia do służby wojskowej pruskiej.

Kosińskiemu niełatwo było powziąść wtedy decyzyę. Polska w owym czasie z sympatyi do Napoleona przeszła w fazę uwielbiania cesarza Aleksandra I, podczas gdy dwór pruski powszechną antypatyą się cieszył, a wszelka opozycya przeciw pruskim rządom za dowód patryotyzmu była uważana. W tych warunkach wstępować do czynnej służby pruskiej — znaczyło to znaleść się w sprzeczności z całą opinią publiczną, narazić się potężnemu prądowi patryotycznemu.

Jednakowoż Kosiński, kierując się chęcią przysłużenia się sprawie, jak niemniej może ulegając perspektywie świetnego stanowiska, na propozycye rządu pruskiego przystał z tem jednakowoż wyraźnem i kilkakrotnie powtarzanem zastrzeżeniem, iż tylko jako Polak królowi pruskiemu służyć może i będzie. Warunek ten przyjęty został przez ówczesnego ministra wojny Boyen'a i wtedy dopiero Kosiński do służby wstąpił.

Czyn ten wzbudził przeciw niemu w Królestwie wiele niechęci, którą generał zwalczać się starał ciągle i otwarcie wskazując na to, że jedyną pobudką jego decyzyi była chęć utworzenia — dla dobra ogólno polskiej sprawy — narodowej siły zbrojnej w Poznańskiem. Że tak, a nie inaczej pojmowali to jego postąpienie jego towarzysze broni, najlepszym dowodem tego list Henryka Dąbrowskiego, pisany z Warszawy dnia 10 lutego 1817 r., z okazyi wstąpienia Kosińskiego do służby pruskiej, który zawiera takie słowa: „Kiedy Niemcy pod rozmaitemi berłami duch narodowy utrzymują i zawsze Niemcami są, czemuż my Polacy nie możemy naszego ducha podobnież pod rozmaitemi rządami utrzymywać, osobliwie kiedy nam to traktaty wiedeńskie zapewniły, iż w każdym podziele narodowość utrzymaną będzie?“

A generał Wincenty Krasiński również z okazyi nadania Kosińskiemu przez króla pruskiego stopnia generała-lejtenanta, pisze dnia 22 lutego 1817: „Polak taki, jak Pan, nigdy swej narodowości się nie sprzeniewierzy; cel nasz zawsze jest ten sam; conajwyżej drogi, które do niego prowadą, mogą się różnić między sobą“.

Najpiękniejsze nadzieje ożywiały generała Kosińskiego, gdy wstępował do służby; okazało się jednak, że rząd łudził go obietnicami. Z roku na rok odraczano urzeczywistnienie projektowanej organizacyi wojska narodowego; nie władając językiem niemieckim, Kosiński do służby czynnej w pruskiem wojsku wogóle nie był zdatny; siedział więc na wsi, w Targowej-Górce pod Wrześnią i korespondował to z majorem Royerem to z Bayenem, ministrem wojny, to z kanclerzem Hardenbergiem; skarżył się na bezczynność, na którą był skazany, nalegał na księcia namiestnika, aby on swemi wpływami przyczynił się do szybszego urzeczywistnienia organizacyi. Z Berlina otrzymywał listy z najsłodszemi obietnicami bez ściśle określonego terminu, mówiono mu to o formacyi wojska liniowego dla Księztwa, to znów o landwerze narodowej — ale o niczem na seryo nie myślano.

Z Warszawy tymczasem gorżkie nieraz otrzymywał pigułki — zarzucano mu, że się sprzedał, zapytywano, gdzież są owe korzyści dla sprawy narodowej.

Wobec tego podał się do dymisyi, w gorżkich słowach żaląc się na zawód w liście do ministra wojny Boyena. Pomimo kilkakrotnego upominania się o dymisyę, Kosiński dymisyi nie dostał. Chcąc go zatrzymać w służbie czynnej (potrzebny był widocznie jeszcze dla jakichś planów), zaofiarował mu rząd pruski gubernatorstwo jednej z twierdz nad Odrą położonych: nie przyjął. Powołano go do królewskiej Rady Stanu: odmówił. Zamianowano go naczelnym komendantem Poznania: — nominacyi nie przyjął. Proszono go, czyby nie raczył przyjąć miejsca przybocznego adjutanta przy królu: — odrzekł, że niech dotrzymają obietnic wobec Poznańskiego, to przyjmie. Uparty Polak przy każdej sposobności, i bez niej, powtarzał swoje „*caeterum censeo*“: Sprowadziliście mnie w tym celu, aby mi kazać zorganizować narodową armię polską; żądam spełnienia przyrzeczenia, albo dymisyi.

W roku 1820 otrzymał wreszcie Kosiński żądaną dymisyę; oznaczała ona dla W. Księztwa wyrzeczenie się przez rząd wszelkich projektów utworzenia siły zbrojnej narodowej w Poznańskiem.

Czy rząd miał naprawdę zamiar urzeczywistnienia kiedykolwiek tych projektów?

Zdaje się, że wątpić o tem nie można. Projekt narodowej organizacyi W. Księztwa był bezwarunkowo jedną z części programu Hardenbergów, Boyenów, Knesebecków tj. grupy stojących podówczas u steru liberalnych mężów stanu, którzy w stworzeniu zbrojnej siły narodowej polskiej upatrywali osłonę w razie wojny z Rosyą, lub, idąc nawet dalej, sądzili, że przez nadanie czysto narodowej organizacyi Księztwu, zdołają na stronę pruską przeciągnąć całą Polskę. Plany te jednak pokrzyżowała dłoń króla Wilhelma III, dla którego przyjaźń z Rosyą była pierwszym i jedynym dogmatem politycznym. Tak więc chwiała się polityka między ministerstwem a wolą króla; w zamiarach król ministrom nie oponował, ale gdy chodziło o wykonanie, ostatecznej decyzyi unikał. Przewa-

*) Wydanych przez syna generała w Poznaniu w r. 1861.

żyła wreszcie osobista polityka dworu. Nietylko projekty narodowej organizacyi Księztwa, ale wiele innych projektów liberalnej ery pogrzebanych zostało przez reakcyę, która z początkiem trzeciego dziesiątka lat dziewiętnastego stulecia niepodzielnie zapanowała w Prusach.

K. R.

Do Wygnańca.

Przez chwilę braterskie ścisnęliśmy dłonie,
Przez chwilę spocząłeś na ziemi twej łonie,
Pierś słońcem ogrzałeś ojczystem!
I znów cię jej sercu gwałt wydarł przemocy,
I tęsknej twej duszy wichr tylko północy
Zajęknął rozstaniem wieczystem!

Lecz skarga nie naszej przystoi boleści!
Dla dumy Polaka jęk żalu niewieści
O! byłby bluźnierstwem i grzechem!
My do dna pijemy z kielicha trucizny
I wszystko składamy na ołtarz ojczyzny
Z niebiańskim spokoju uśmiechem.

Bo po tej najświętszej, bo po tej ojczyźnie,
Niezłomną my wiarę przyjęli w spuściźnie,
Co drogą nas wiedzie promienną,
Bo wiemy, że jasna źrenica Wszechmocy
Po nad te otchłanie zwątpienia i nocy
Tam, prawdą nam świeci niezmienną!

Więc dzisiaj z krwawionych męczeńskich [wawrzynów
Z jej ofiar serdecznych i świętych jej czynów
Koronę wijemy na skronie.
Bo przyjdzie dzień wielki, gdzie ciemność [grobowa
Przed blaskiem jej pierzchnie i nasza [królowa
Sztandarem tryumfu powionie!

I tyś, o nas druhu! ze skroni zranionej
Wplótł jeden cierń jasny do jasnej korony
Co czoło uwieńczy tej matki!
Więc niech ci to gwiazdą pociechy zaświeci
Wśród głuchej tąsknoty — wśród śnieżnej [zamieci
Pod niebem posępnem Kamczatki!

Marja B.

Z krwawych dni.

(W lazarecie w Lubomierzu 1848 r.)

II.

Około stu pięćdziesięciu rannych Polaków w bitwie pod Książem poznoszono pod wieczór do stodoły za miastem i pozostawiono na łasce opatrzności. Znalazł się w Śremie jeden poczciwy lekarz, żyd, który chciał się zająć rannymi, lecz dostał za to od żołnierzy kolbą w piersi, a następnie wraz z jeńcami popędzono go do Poznania, gdzie po pewnym czasie odzyskał wolność.

Kilku rannych, pozbawionych pomocy lekarskiej, umarło w owej stodole pierwszej zaraz nocy; u innych gorączkę zwiększała obawa, że pijani żołnierze, których dzikie pieśni dolatywały z zewnątrz, podpalą stodołę wraz z rannymi, jak to zrobili z lazaretem w Książu.

Nazajutrz, w niedzielę, dnia 30 kwietnia, skoro się rozwidniło, obywatelki z Książa przyniosły mały posiłek dla rannych. Niebawem zajechały wozy, które miały zawieść rannych do Śremu. Stu pięćdziesięciu ludzi, z których większość była ciężko ranna, popakowano na wozy, jak bądź, tak, że kilku w ciągu tej podróży pod ciężarem własnych towarzyszów broni pomarło. Był zimny, dżdżysty, ponury dzień. Po kilku godzinach jazdy stanęły wreszcie wozy u celu podróży i rannych porozmieszczano po domach obywateli. Jak świadczą ci, co przeżyli owe straszne chwile, obywatele Śremu z całem poświęceniem zajęli się rannymi. Wkrótce jednak wyręczyła ich w tem zacna panna Emilia Sczaniecka, której staraniom ranni zawdzięczać musieli, że przewieziono ich do lazaretu w Lubomirzu, pod Śremem. Już w samym Śremie zajął się pielęgnowaniem potrzebujących opieki doktor Matecki z żoną, a i potem w Lubomirzu przyjął na siebie główny zarząd lazaretu.

Pomoc lekarska niejednemu też ocaliła życie. Jak pisze w liście ze Śremu dnia 19 czerwca 48 r. doktor Matecki, wśród rannych byli tacy, co po 14 ran mieli w głowie, i to ran głębokich, a inni mieli na całem ciele po 24 rany; niektórym pchnięcia bagnetu zupełnie wnętrzności na wierzch wydobyły.

Trzeba było wiele poświęcenia, aby ciężką tę służbę samarytan sprawować. W Lubomirzu w poświęcenia pełnej pracy przodowała panna Emilia Sczaniecka, a pomagały jej: pani Matecka, panna Marya i Elżbieta Bolewskie, panna Sabina Mlicka, panna Ludwika Wierzbińska, panna Melania Łakińska, panna Wanda Glogier, pani Konarska, pani Grudzielska, panna Bojanowska, panna Swiderska, pani Barbara Raczyńska i pani Ruszczyńska.

Zamieszkały one prawie na stałe w lazarecie i pielęgnowaniu rannych poświęcały swoje zdrowie, przepędzając bezsenne noce i dnie przy łożach chorych.

Ogólny zarząd lazaretu należał do panny Emilii Sczanieckiej, która z prawdziwie macierzyńską troskliwością nietylko sama była obecna i pomagała przy operacyach, ale sama myła, czesała rannych, zmieniała opatrunki, dniem i nocą była wciąż na nogach.

Doktorowi Mateckiemu dzielnie pomagali lekarze Cunow i Brawacki i aptekarz Chrzanowski. Pracę ich utrudniała jeszcze ta okoliczność, że byli oni zmuszeni jeździć często do Miłosławia, aby tam opatrywać rannych, bo generał von Colomb kierujących lazaretem w Miłosławiu lekarzy dra Jezierskiego i dra Smoleńskiego od łoża chorych i konających oderwać kazał i jako obcych poddanych z granic państwa wydalił.

Powoli posuwało się wyzdrowienie rannych.

Jeden z pierwszych oddał bohaterską duszę Bogu dzielny obrońca Śremu komendant Floryan Dąbrowski. Bezprzytomnego przywieziono go do Śremu i dopiero po obandażowaniu odzyskał tyle przytomności, że poznał pannę Emilię Sczaniecką i dra Mateckiego. Cierpiał tak strasznie, że mówił im, aby się modlili o prędki koniec tych cierpień. „*Lepiej odrazu umrzeć niż tak się męczyć, jak ja* — powiedział konając, — *ale to przecież dla Ojczyzny!*“

Były to ostatnie jego słowa, bo nazajutrz po przywiezieniu do Śremu skonał.

W lazarecie w Lubomirzu śmiercią spacili swój dług wobec Ojczyzny, prócz Dąbrowskiego i tych co padli na polu bitwy, następujący żołnierze:

Wojciech Karlewicz, goździarz z Kórnika, *Maksymilian Szymański*, młynarz z Borku, *Stanisław Wilczyński* z pod Książa, *Jan Ziemiański*, dekarz z Krobi, *Jerzykiewicz* kowal z Bnina, *Hieronim Palczewski* z Poznania, *Andrzej Palacz* oficyalista z Konarskiego (pod Śremem), *Tomasz Buda* forszpan z Kwilcza pod Pniewami, *Marceli Lewandowski*, kucharz z Dryczkowa pod Wschową, *Józef Przepierczyński*, kuśnierz z Książa, *Robert Hasfort* z Dolska, *Jan Zborowski*, urzędnik gospodarczy z Wysoczki pod Bukiem, *Adolf Mizerski*, z Borowa pod Czempiniem, *Lucyan Bajerski*, skazaniec z procesu 1847 roku, zakończył życie wskutek ran, odniesionych już po złożeniu broni w Książu. Dr. Matecki pisze, że miał 1) postrzał w boku 2) cięcie w głowę 3) cztery ukłucia bagnetem, z których jedno tak głębokie, że rozdarło mu brzuch i kiszki wypadły, a drugie poszarpało całe podbrzusze 4) uderzenie bagnetem w kark.

Notatka lekarza lazaretowego wymienia między zmarłymi też staruszkę *An-*

nę Janiszewską, żonę stelmacha z Książa, która otrzymała ciężki postrzał w nogę.

Oprócz osób powyżej z nazwiska wymienionych umarło w Lubomirzu niebawem po przywiezieniu z pola bitwy sześć osób, od których już nie można się było dowiedzieć o nazwisku; przywieziono je w beznadziejnym stanie. Ogółem zmarło 22 osób.

Podaliśmy nazwiska tych, co położyli życie za Ojczyznę w nadziei, że niejednej rodzinie spokrewnionej z poległymi, miłem będzie przekonać się, że pamięć o spełnionej ofierze żyje.....

Ten akt pietyzmu należał się zreszt pamięci tych, co życie swe oddali w ofierze za sprawę. O nich nie zapomn nigdy rodacy i imiona ich ze czcią prze chowywać będą w późne pokolenia.

Dr. R.

Dąb stoi silny, duży,
A na nim liści tyle,
Porwane wichrem burzy,
Upadną zdala w pyle.

I mną dziś wicher miota,
I w dal mi każe iść,
Aż gdzieś u wrót żywota
Padnę — samotny liść.

Ski.

Z teatru wojny.



Prezydent Transwaalu Krüger.

Stefan Jan Paweł Krüger jest więcej, niż typem zwyczajnego Boera. Jest na to za roztropny, za szczery, za dumny. Stary to człowiek, ukończył już lat 75. Fizycznie jest dotąd nienadszarpnięty, tylko wzrok ma krótki, co zmusza go do noszenia okularów o niezwykle dużych szkłach. Jest on nieubłaganym konserwatystą, najmniejsza zmiana w ustroju rzeczy lub pojęć wywołuje z ust jego cierpkie utyskiwania na zgubny wpływ zagranicy. Nie nienawidzi on „uitlanderów“, jak inni Boerowie; boi się raczej współzawodnictwa ich przedsiębiorczości z apatyczną naturą Holendrów.

Krüger jest wyznania luterskiego „o twardej cza[illegible]“, jak powiada „Daily Mail“ w swej charakterystyce prezydenta Transwaalu; wierzy on święcie w to, że Boerzy są wybranym narodem Pana i kwiatem człowieczeństwa.

Pobiera on pensyi 7000 funtów szterlingów rocznie, a oprócz tego 300 funt. na cele reprezentacyi, czyli na tak zwaną „kawę“.

* * *

Szczęście, jakie Boerom przez cztery miesiące sprzyjało, opuszcza ich od chwili, gdy na widowni wojny pojawił się Roberts z Kitchenerem*) na czele prze-

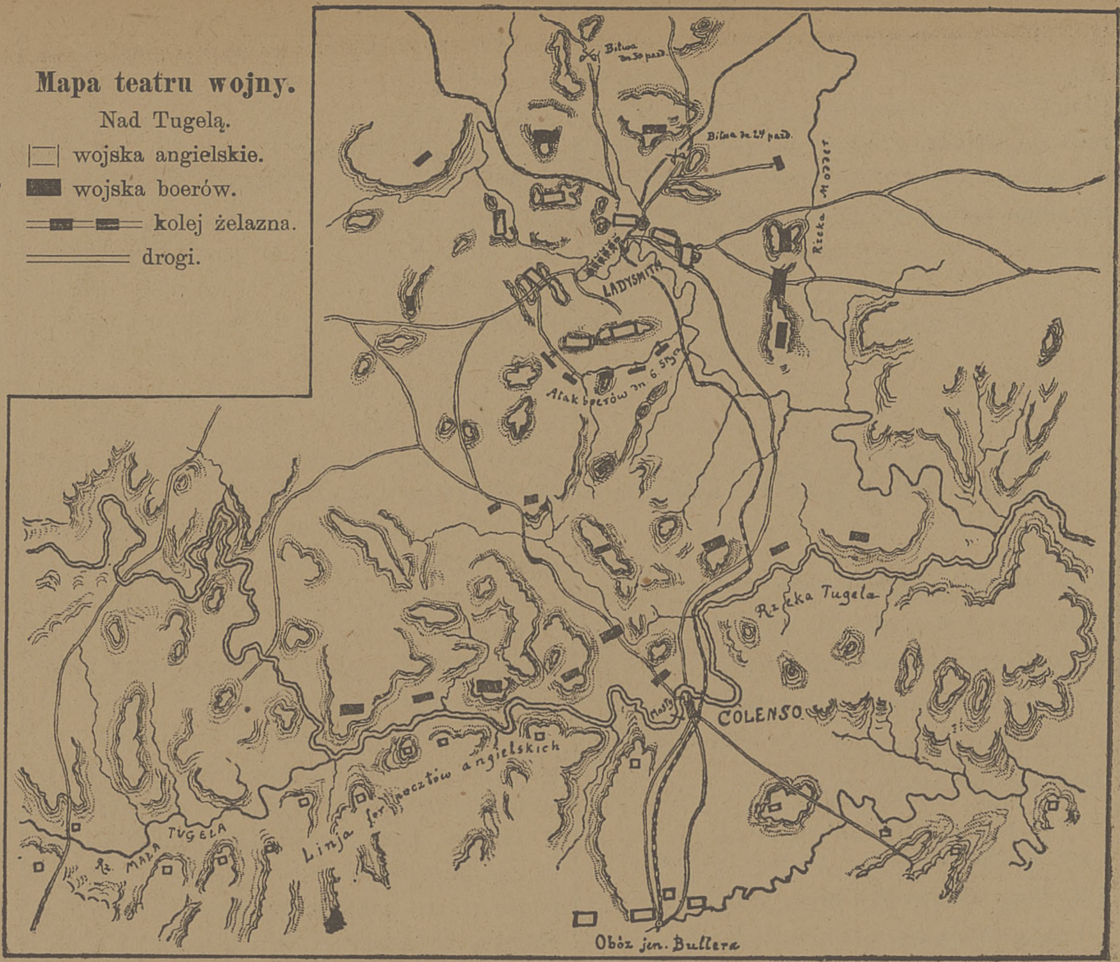


Lord Kitchener.

możnej armii. Spełniać się zaczyna to, czego na podstawie normalnych obrachunków wielu się obawiało: mocniejszy dusi słabszego. Dnia 27 lutego rano, nim słońce zeszło, dobiegł kresu pierwszy doniosły w skutkach akt trzeciego okresu wojny, nazwanego okresem Robertsa. Cronje poddał się o tej porze szczęśliwemu swemu przeciwnikowi na łaskę i niełaskę z całą swą armią tj. zowiąc rzecz po imieniu, z niedobitkami swych dzielnych wojsk, gdyż po bohaterskim oporze, jaki nieugięty wódz orański wrogom swym przez dziewięć dni i jednę noc stawiał, szczupły korpus jego stopniał niezawodnie tak, iż z niego pozostały chyba strzępy.

W gruncie rzeczy przecież jest to upokarzającem dla Anglików, jeśli 40-tysiączna armia, posiadająca setki dział najlepszego systemu, dopiero po 2 tygodniach, z ogromnemi po swej stronie stratami, zdołała zmusić do poddania oddział nieprzyjaciela, liczący zaledwie 3000 głów, rozporządzający nadto tylko 6 małemi nowszemi i 9 starszego systemu działami. Przez 2 tygodnie ta gar-

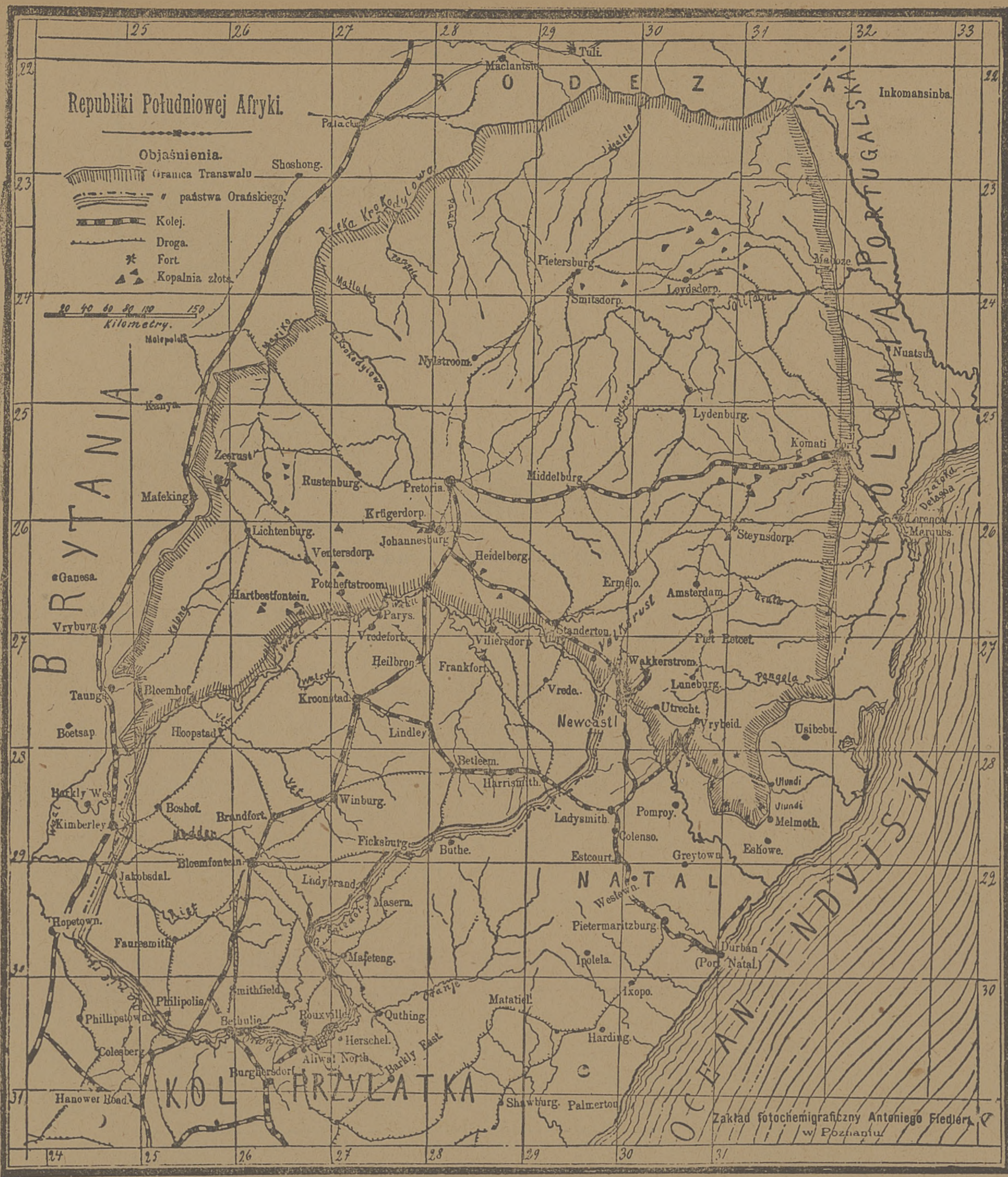
Mapa teatru wojny.





Jenerał White.

*) Lord Kitchener, zdobywca Chartumu, zwycięzca z pod Omdurmanu, należy do najpopularniejszych ludzi w Anglii — przyp. Red.

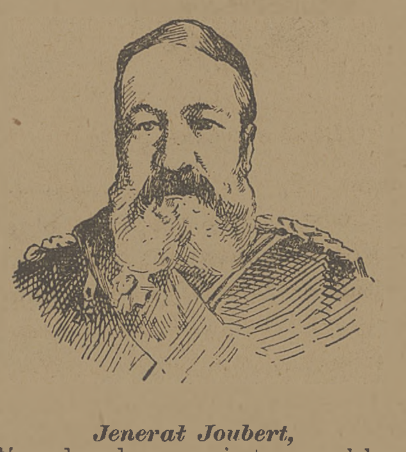


stka Boerów pod wodzą bohatera Cronjego trzymała w ryzie armią Robertsa, odpierała codziennie zwycięzko ataki nieprzyjaciela i poddała się dopiero wtedy, gdy straciła cały obóz, żywność i amunicyą i gdy wezbranie rzeki Modder wypędziło ją z łożyska tej rzeki. Takiem „zwycięztwem" chyba chełpić się nie można! Nie wielka to sztuka zwyciężyć, gdy przypada dziesięciu na jednego!

White, były generalny konsul Transwaalu w Londynie, mniema, że z upadkiem Cronjego wojna jeszcze się nie kończy. Dobiegnie ona jego zdaniem kresu dopiero po zdobyciu Pretoryi. Widoki interwencyi ze strony Europy uważa White za pobożne życzenia; chyba jedyna Rosya może wedle okoliczności głos podniesie. Więcej spodziewa się White po Stanach Zjednoczonych.

* * *

Wobec klęski Cronje'go może sprawę boerską uratować dzisiaj chyba nadzwyczajne powodzenie Jouberta, który już jedyny ma jeszcze do dyspozycyi większe siły. Tu potrzeba atoli jakiej nader pomyślnej a szybkiej niespodzianki, gdyż zwycięzki Roberts wyzyska swe tryumfy bez wątpienia z tą samą rączością, z jaką Cronje'go ścigał i zbombardował.



Jenerał Joubert,
głównodowodzący armią transwaalską.

Głównodowodzący armią transwaalską, jenerał Joubert, pochodzi z rodziny Hugonotów francuzkich, którzy w swoim czasie wyemigrowali do Capetown. Jest to serdeczny przyjaciel prezydenta Krügera, z którym od lat wielu broni niezawisłości Transwaalu. Zalety wojskowe Jenerała Jouberta najjaśniej uwydatniły się w czasie walki Boerów z Anglikami w r. 1880—1881. Po ogłoszeniu urzędowem rozpoczęcia kroków wojennych, Boerów podzielono w grudniu 1880 r. na trzy grupy: jedna miała przeciąć drogę wojsku angielskiemu, dążącemu do Pretoryi, druga działać miała pod Potschefstom, trzecia w Heidelbergu. W dniu 20 grudnia, oddział 94-go pułku angielskiego pod dowództwem pułkownika Anstruthera, był zaatakowany i zniesiony przez Boerów. Bezpośrednio potem wojsko Boerów odniosło świetne zwycięstwo nad Anglikami, którzy pod dowództwem generała Colleya, dążyli z Natalu, aby przez przesmyk Laings Neck, wejść na terytoryum Transwaalu. Wdniu 7 lutego t. r. Boerowie odnieśli nowe zwycięztwo pod górą Prospect, a nieco później, jenerał Colley padł pod kulami Boerów pod Majouba Hill. Na tem skończyła się ówczesna kampania transwaalska. Anglicy uznali, że wojna trwa za długo i zbyt niepomyślny dla nich przybiera obrót, w dniu więc 23 marca 1881 roku zawarli traktat, uznający niepodległość rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej.

W kołach transwaalskich zapewniają, że nakazano powszechne cofnięcie się Boerów od torytoryi angielskich. Jenerał Joubert obiera okolice Winburga za pewną linię obrony. Tamże mają Boerowie skoncentrować 50,000 ludzi. Teren Winburga przypomina teren pod Ladysmithem. Daje on podobno możność dłuższego odporu. Bloenfonstein będzie pomocny.

* * *

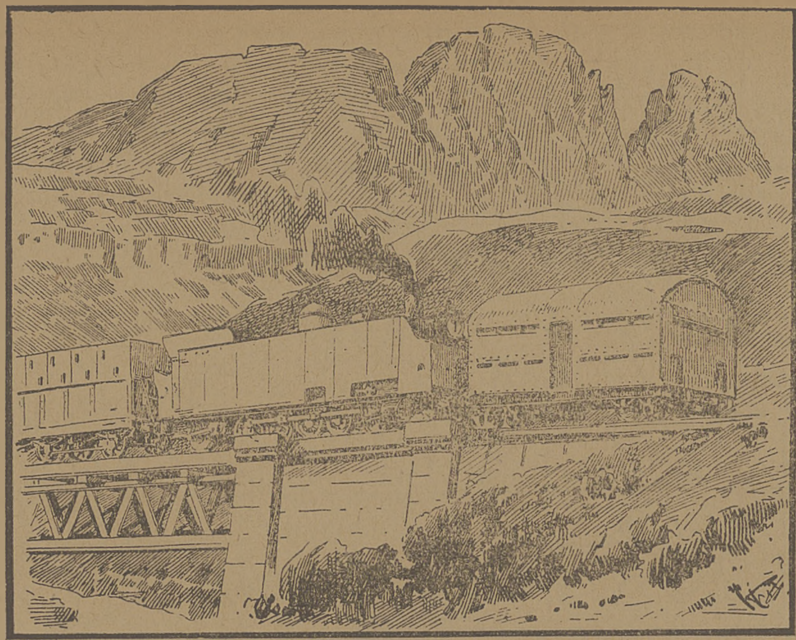


Jenerał komenderujący Boerów Cronje.

Nazwisko Cronie'go, tego dowódzcy Boerów, który w walkach z Anglikami złożył dowody iście starożytnego boha-

terstwa, — znajduje się obecnie na wszystkich ustach, — będzie zatem na czasie dorzucić kilka rysów do jego charakterystyki.

Cronie, zwany powszechnie „lwem Afryki", należał razem z Kruegerem, Joubertem, Schalk Burgherem i zabitym niedawno Kockiem do kierowników i organizatorów transwaalskiej republiki. Brał on udział we wszystkich niezliczonych walkach, jakie toczyli Boerowie z krajowcami i z Anglikani i nabrał ogromnego wojennego doświadczenia, — poznał najdokładniej teren całej niemal południowej Afryki, nie zaniedbując przytem strategicznych studyów. Kiedy w Pretoryi nabrano przekonania, że wojna z Anglią jest nieunikniona, Krueger utworzył wielką radę wojenną, w której przewodniczył Joubert, ale której duszą był Cronie.



Pociąg opancerzony Colenso-Ladysmith.

Podczas napadu Jamesona jemu zlecono wyparcie angielskich flibustierów. Cronie wywiązał się z tego zadania znakomicie i nie straciwszy ani jednego człowieka wziął do niewoli całą bandę. Gdy Jameson wywiesił białą chorągiew na znak poddania, Cronje zdjął kapelusz z głowy i pierwszy zaintonował dziękczynną pieśń. Po wybuchu wojny oddano mu główną komendę w Oranii, a jego prawdziwie homeryckie walki pod Graspan, Belmont, Moderriever i Magersfontein — gdzie mając 7 do 8 tysięcy ludzi powstrzymał pochód 15,000 Anglików i zadał im straszne klęski, są w świeżej pamięci ogółu.

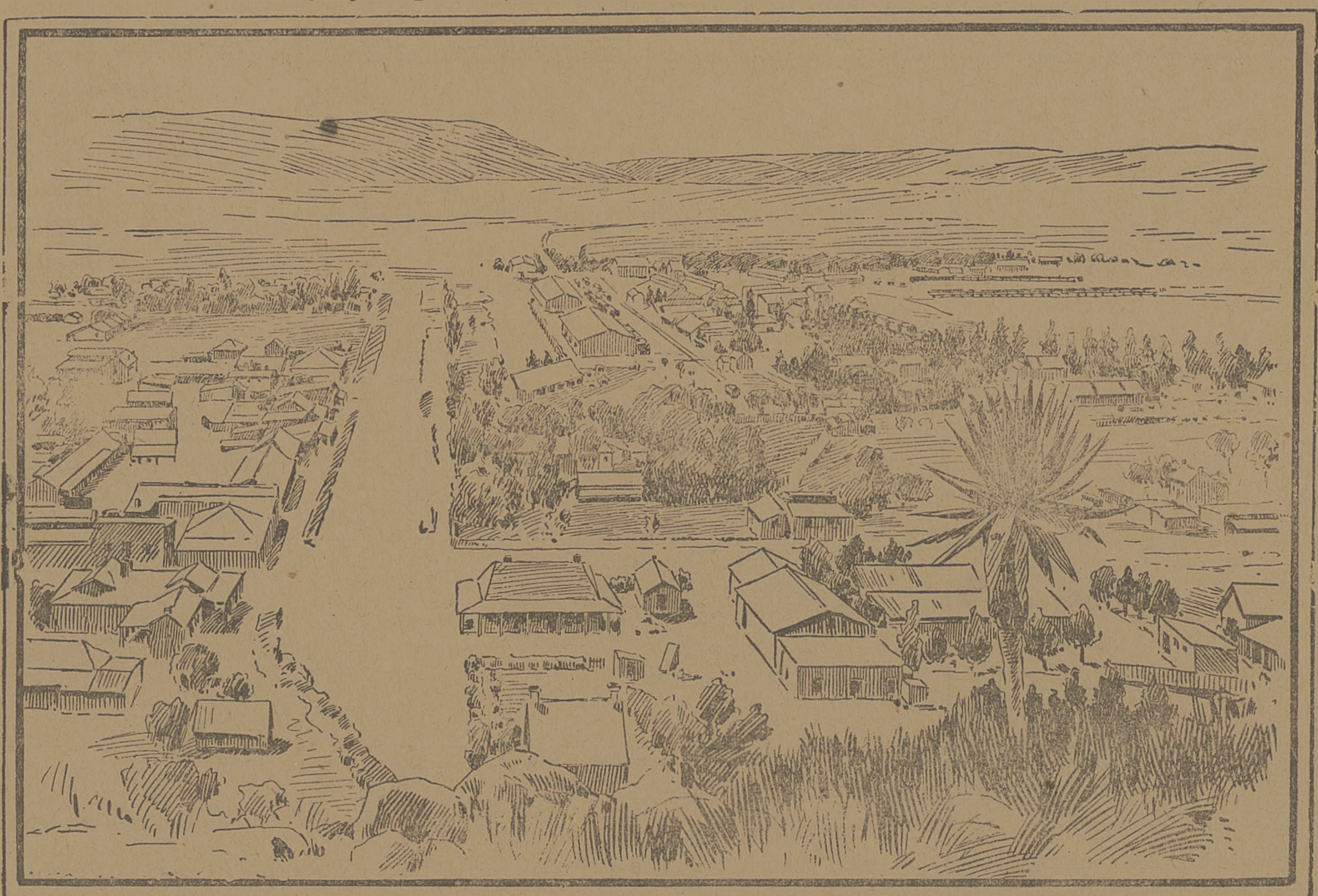
Jeden z Anglików, który znał osobiście Croniego tak go charakteryzuje: Jest to człowiek absolutnie bez żadnej trwogi, który zachowuje zimną krew i spokój wśród najsroższej bitwy. Pod Moderriever, kiedy Methuen sforsował już przejście przez rzekę i było rzeczą widoczną, że Boerowie nie utrzymają się na brzegu północnym, kiedy działa angielskie rzucały pociski z odległości 1 kilometra, Cronie sam jeden stał na werendzie hotelu, wzniesionego nad rzeką i obserwował spokojnie pozycye nieprzyjacielskie.

Tuż koło niego pękł granat: Cronie zepchnął spokojnie nogą z ganku szczątki pocisku i zszedł ze schodów, jakby się nic nie stało. Podczas bitwy pod Magersfontein, stał wśród gradu kul w pierwszych szańcach, uśmiechając się ironicznie od czasu do czasu, kiedy widział rozpaczliwe wysiłki Anglików. Wogóle Cronie literalnie tańczy na polach bitwy.

Jest to mężczyzna średniego wzrostu, silnie zbudowany z długą brodą i wyrazem twarzy pełnej dobrodusznej powagi.

Oprócz nadzwyczajnej odwagi, odznacza się Cronie licznemi domowemi cnotami, i nie ma w sobie nic z tej srogości, o jaką go podejrzywają Anglicy. Niezmiernie pobożny, rozpoczyna i kończy bitwę modlitwą. Jego towarzysze i podwładni szli za nim wszędzie na oślep, i to jest pewne, — że nie byłby się poddał, — gdyby mu pozostała jakakolwiek nadzieja ocalenia.

Cronie pochodzi ze starej francuskiej



Ladysmith.

hugenockiej rodziny, — która wyemigrowała z Francyi po odwołaniu edyktu nantejskiego. Jego nazwisko brzmiało pierwotnie Crognié.

* * *



Sir Redvers Buller,
główmodowodzący angielską armią operacyjną w Transwaalu.

Jenerał Buller w Natalu nie może osięgnąć zamierzonego celu, chociaż nie szczędzi swych żołnierzy, jak tego dowodzą olbrzymie straty w oficerach. „Morning Post" donosi, że wojsko brytańskie w skutek operacyi z 21 i 22 z. m. utrzymało się na wzgórzach po drugiej stronie Tugeli. 23 z. m. postanowił jenerał Buller zdobyć drugi szereg wzgórz; atoli kilkakrotny atak został z ciężkiemi stratami odparty. Po nadejściu posiłków Anglicy ponowili atak, ale i tym razem nie osięgnęli żadnego sukcesu.

Według wiadomości angielskiej jenerał French zaraz po poddaniu się Cronjego wyruszył z konnicą swą na Blumfontein i już znajdować się ma



Jenerał-major J. D. F. French,
komendant brygady kawaleryi angielskiej.

w pobliżu miasta tego. Nadmienić też jeszcze warto, że Anglicy bardzo się gniewają, iż tak mało armat znaleźli w obozie Cronjego i posądzają go, że większą część i to najlepszych swych dział zakopał gdzie po drodze.

French jak też Roberts są Irlandczykami. Siostra Frencha jest zdeklarowaną przeciwniczką polityki imperyalistycznej. Jako przyjaciółka pokoju przemawiała na wielkim wiecu w Londynie na początku wybuchu wojny za zawieszeniem broni; za to zarzucono ją zgniłemi jabłkami.

* * *



Jenerał Sir C. Warren,
głównodowodzący armią angielską w Natalu.

Pod dowództwem jenerała Warrena poniosły angielskie wojska pod Spion-Kop, jak wiadomo, wielką klęskę, i cofnąć się musiały na południowy brzeg Tugeli.

* * *



Jenerał-major Lyttleton.

Brygada jenerał-majora Lyttleton'a w połączeniu z brygadą jenerał-majora Woodgate'go naszła nocą z nienacka Boerów pod Spion-Kop, ale na pozycyi tej

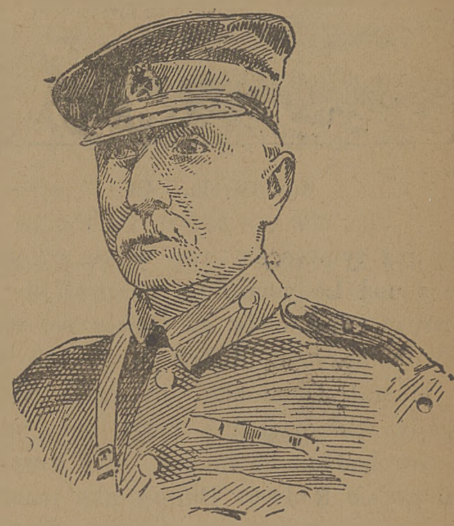


Jenerał-major Woodgate.

połączone brygady utrzymać się nie mogły i po strasznej porażce, w której generał-major Woodgate został ciężko ranny, musiały się cofnąć.

* * *

Jenerał Kelly-Kenny, dowódzca 6-ej angielskiej dywizyi zaatakował w ostatnim czasie o świcie obóz Croniego pod Coodosberg nad rzeką Modder. Bitwa trwała przez cały dzień. Anglicy szli do ataku z wielką brawurą, jakkolwiek



Jenerał Kelly-Kenny.

ponosili ciężkie straty; 50 dział angielskich ostrzeliwało bezustannie obóz Boerów przez dwa dni. Trzeciego dnia prosił Cronie o zawieszenie broni w celu pochowania poległych. Sam doniósł, że stracił 800 ludzi. Odpowiedziano mu, że musi dalej walczyć lub się poddać i na zawieszenie broni się nie zgodzono.

* * *

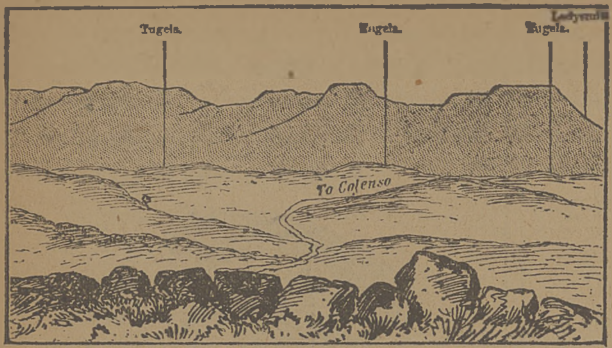
W ostatnich dniach nadeszła wiadomość, spodziewana przez wszystkich, że Boerowie zaniechali oblegania Ladysmithu i porzucili swoje obronne stanowiska nad Tugelą, cofając się ku granicom kraju, aby ich bronić przed najściem Anglików.



Dr. Leyds,
reprezentant Boerów na Europę.

Oswobodzenie Ladysmithu nie było już dziś dla nikogo niespodzianką i dlatego nie wywołało wzruszenia, jak wszelka konieczność, na którą tok logiczny wypadków umysły przygotował.

Boerowie, osłabieni wysłaniem na zachodni teatr wojny dosyć znacznych posiłków, które tam w porę nie nadeszły, bronili wprawdzie jeszcze w ostatnich dniach energicznie Pieters-Hillu, ale usu-



Nad Tugelą. Szkic z natury.

wali już tymczasem swe działa oblężnicze z pod Ladysmithu i gotowali się do odwrotu. Komendy ich cofały się stopniowo z pozycyi, okalających miasto, tak że jenerał Dundonald na czele Natalczyków wkroczyć już mógł bez walki do oswobodzonego miasta. Nie oswobodził go sir Redvers Buller, ale marszałek Roberts genialnem oczyszczeniem zachodniego teatru wojny z nieprzyjaciela i wtargnięciem do Oranii. Wobec kapitulacyi Cronjego pozycya Ladysmithu straciła strategiczne znaczenie dla Boerów i porzucić ją musieli. *B. R.*

Z za więziennej kraty.

(Z poezyi więźnia stanu z r. 1848.)

Ostatnia pieśń.

Ja się śmieję, ja się śmieję,
Bom pożegnał już nadzieję —
I posłałem po Urszulę,
By mi uszyła koszulę,
Śmiertelną koszulę!

Czy to później, czyli prędzej
Śmierć przecina pasmo nędzy;
Ja zaś wolę ją uprzedzić,
By rodziców mych odwiedzić —
Rodziców odwiedzić.

Póki słońce mi świeciło,
To i żyć mi dobrze było;
Dziś i płakać już nie mogę,
A więc idźmy w czarną drogę,
Idźmy w czarną drogę.

I najmilsza mnie odbiegła,
U innego serca legła;
Bywaj że mi, bywaj zdrowa,
Moja trumna już gotowa —
Trumna już gotowa.

Ja się śmieję, ja się śmieję,
Bom pożegnał mą nadzieję;
A choć jeszcze taki młody,
Już ostatnie święcę gody,
Już ostatnie gody.

Puhar pieni się w mej dłoni
I godzina moja dzwoni —
Spełniam więc puhar zatruty,
Chwila — a będę rozkuty —
A będę rozkuty.

Ja się śmieję, ja się śmieję,
Bom pożegnał już nadzieję,
Bracia! jeśli chęci szczere,
Zaśpiewajcie: *Dies irae!*
Lubię: *Dies irae!*...

T.

Dział społeczno-ekonomiczny.

O stolarstwie artystycznem i jego nowoczesnych zadaniach.

Napisał
T. Filipowicz.

Przemysł artystyczny.

Widzimy w historyi, że w epokach wyższego rozwoju sztuk pięknych i przemysł artystyczny dostrajał się do wyższego tonu, chociaż różne są zadania obu tych kierunków.

Sztuki jak malarstwo lub rzeźba dają satysfakcyą same przez siebie i dlatego zwą się także sztukami wyzwolonemi. Hasłem artystów nowożytnych jest „sztuka dla sztuki“.

Przemysł artystyczny służy celowi praktycznemu, dlatego nazywają go sztuką stosowaną.

Im wyższy stopień kultury, tem większe ludzkie potrzeby, a wymagania osób o smaku wytwornym stawiają wyższe zadania rzemieślnikowi.

U Greków i Rzymian nietylko świątynie, place miejskie, teatry, ale i łaźnie, tak zwane „termy“, a nawet domy mieszkalne były tworami artystycznymi.

W gotyckich katedrach nietylko architektura, ale i ambony, konfesyonały i ławy chórowe czyli stale — po obu stronach wielkiego ołtarza — były dziełami sztuki.

W czasach renesansu czyli odrodzenia były nietylko kościoły, ratusze, rezydencye, ale i meble, szczególniej w renesansie włoskim monumentalne czyli pomnikowe.

W stylu rokoko meble były zbytkowne, zastosowane do wymagań pałacy.

W dziewiętnastym wieku myśl i twórczość ludzka w wielu kierunkach nowe otworzyła drogi. Rwie się ludzkość gwałtem naprzód w swym cywilizacyjnym pochodzie.

Na polu przemysłu artystycznego pierwsze hasła nowego ruchu wyszły z Anglii, gdzie nietylko w sztuce dekoracyjnej, ale i w stolarstwie meblowem wyrobił się styl nowy.

W ostatnich latach i w Niemczech zapanowały nowe prądy zmierzające do wytworzenia nowego stylu. Zdolniejsi nasi stolarze polscy powinni się z nimi poznajomić, aby się nie zacofać.

Wzmiankowany ruch pojawił się w Anglii już przed pół wiekiem; zapoczątkował go Ruskin, mąż o wysokiem poczuciu estetycznem, który nietylko słowem ustnem i pisanem, ale i czynem torował drogę przemysłowi artystycznemu. Wyrabiał on w Anglikach zamiłowanie piękna, zainteresowanie się sztuką stosowaną do przemysłu, objeżdżał wsi, miasta, zakładał muzea przemysłowe, szkoły i warsztaty; pracował nawet technicznie. Jego wyroby tkackie ręczne poszukiwane do dziś przez zamożnych Anglików. Usiłowania Ruskina poparli artyści jak Brown, Rossetti i W. Morris. Pierwszą szkołę artystyczno-przemysłową utworzono przy muzeum South Kensington w Londynie, a następnie po wszystkich większych miastach Anglii. Uczą tam rysunku i stosują go do przemysłu.

We Francyi zbudził się także przed kilku laty ruch nowy. Grasset przejęty ideami postępowemi Anglików przerobił je swym indywidualizmem a obecnie wielu już artystów pracuje w tym kierunku. Owoce usiłowań francuskiego stylu „moderne“ oglądaliśmy na przeszłorocznej wystawie drezdeńskiej. Były tam całkowite urządzenia mieszkań, skomponowane przez Besnard'a i Isaac'a. Są to prace zupełnie samodzielne i nie naśladujące nic dotychczas znanego; w każdym sprzęcie uwzględniona celowość i prawa kolorystyczne.

Niemcy przez długi czas nie brali udziału w tym ruchu. Dopiero wystawy przeszłoroczne w Dreźnie i Monachium są pierwszym wyrazem.

W illustracyach niemieckich, w afiszach stylizowanych itd. widzimy od lat kilku naśladowanie nowego stylu Anglików a dopiero od niedawna sztuka stosowana *niemiecka* zaczyna się wyodrębniać.

Wychodzą też pisma niemieckie o przemyśle artystycznym z takim mniej więcej programem: „Nie znosimy ludzi, którzy twierdzą, jakoby liść uschły był ładniejszy od świeżego, którzy utrzymują, iż wielką jest tylko przeszłość sztuki. Nie protegujemy żadnych naśladownictw i wolimy raczej mylny krok, pochodzący ze szczerej potrzeby szukania nowych dróg, niż najefektowniejsze, lecz konwencyonalne cacka, z których przebija niesamodzielność.“ Pogląd na zadanie sztuki stosowanej wogóle niemniej stanowczo i dokładnie jest tu wyrażony, gdyż zaraz w prospekcie jednego ze wspomnianych pism czytamy: „Dwa wymagania postawić trzeba sztuce stosowanej, a mianowicie, by forma, miara, kolor i materyał danego przedmiotu odpowiadały jego przeznaczeniu, i aby a-

nianie się za mniemanem pięknem nie sprzeciwiało się zasadom celowości. Czara. która wskutek swej wagi nie może być obróconą do jakiegokolwiek codziennego użytku, albo lustro, które przez kolosalne rozmiary swych ram nie może dawać odbicia przedmiotów — nie mają dla nas najmniejszej racyi bytu.“

We Wiedniu panował przez kilka lat dziesiątków ruch mający na celu związek: nauki, sztuki i przemysłu. Ojcami wiedeńskiego przemysłu artystycznego byli: Eitelberger, Falke, Bucher, Waldheim i inni. Bucher torował drogę jako publicysta, a założone przez niego Towarzystwo przemysłowo-artystyczne z prezesem Waldheimem, a następnie Hanuschem dążyło do podniesienia sztuki stosowanej. Bucher, autor wielu broszur, napisał między innemi, dotyczącemi przemysłu artystycznego; „Historyę sztuki stosowanej“ — Geschichte der technischen Künste — i „Sztuka w przemyśle“ — Kunst im Handelswerk.

Kierunek ten widział w Renesansie szczyt artyzmu i to nie w jego ślepem naśladownictwie, ale w nowem *przetwarzaniu;* w odnalezieniu *prawideł* jego działalności; w harmonijnem zespoleniu życia i sztuki ku rozwiązaniu zadań nowoczesnych.

Dążono do zjednoczenia teoryi i praktyki w celu wyrwania sztuki i przemysłu z ówczesnego zamętu niekonsekwencyi i bezcelowości, aby jej wskazać nowe drogi żywotniejsze. Idee te mające na celu zreformowanie rzemiosła wygłaszano we Wiedniu w połowie 19-go wieku. Obecnie one się przeżyły, wyparte przez nowe prądy idące z Anglii. O prądach tych wspomnieliśmy już poprzednio.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odezwa
do wszystkich Tow. Przemysłowych.

Wskutek zmienionego ustawodawstwa i obowiązujących od pierwszego stycznia 1900 przepisów księgi ustaw obywatelskich okazuje się potrzebną i zmiana ustaw towarzystw przemysłowych. Takową poruszono w dwojakim kierunku i wprawdzie:

1. Czy się zaleca, aby towarzystwa przemysłowe stawiały wnioski do sądów okręgowych o wpisanie ich w sądowy rejestr stowarzyszeń, przez co nabywają niejako prawa korporacyjne?

2. O ile winne zmienić towarzystwa swe ustawy, jeżeli a) albo się nie dadzą zapisywać w rejestr stowarzyszeń? b) albo wniosek ich o zapisanie oddalonym zostanie?

Co do pierwszego punktu niżej podpisany zarząd jest zdania, że tymczasem jeszcze należy się wstrzymać z wnioskami o zapisanie w rejestr stowarzyszeń. Sprawa ta będzie omawianą na najbliższem walnem zebraniu delegatów towarzystw przemysłowych, na którem wszystkie dane za i przeciw znajdą szerokie pole do dyskusyi. Na zebranie to już dzisiaj zwracamy i towarzystwom przemysłowym i przemysłowcom uwagę. Natomiast sądzimy, iż koniecznem jest, aby wszystkie towarzystwa przemysłowe, o ile one nie są zarejestrowane, dziś już zmieniły swe ustawy w kierunku niżej podanym. Bo jakkolwiek nowe przepisy nie odnoszą się do stowarzyszeń, zawiązanych przed 1-ym styczniu 1900, wszakże do wszystkich nowych członków, wstępujących po 1-ym stycznia 1900 r., odnoszą się przepisy do nowej ustawy. Proponowana zmiana brzmi jak następuje:

W razie wystąpienia członka z towarzystwa, jego wykluczenia, śmierci lub otworzenia konkursu nad jego majątkiem, jednostka, u której powyższa okoliczność zajdzie, przestanie tem samem należeć do towarzystwa, które się mimo tego nie rozwiąże, lecz nadal istnieć będzie. Spadkobierca zmarłego, występujący, wykluczony lub popadający w konkurs traci z jednej strony wszelkie prawa do majątku towarzystwa, a udział jego w majątku towarzystwa przejdzie na pozostałych członków, zaś z drugiej za żadne zobowiązania towarzystwa odpowiadać nie będzie.

Zarząd Związku Towarzystw Przemysł. w Poznaniu. *Prezes.*

Szkoły zawodowe dla przemysłu z gliny.

Zarząd Związku Towarzystw Przemysłowych w Poznaniu ogłosił, jak wiadomo, w styczniu r. b., zważywszy wielką doniosłość, jaką ma i w przyszłości mieć będzie ceglarstwo, zważywszy, że w tej gałęzi rzemiosła nader szczupłą liczbę mamy wykształconych zawodowców:

Konkurs o stypendyum na naukę w szkole zawodowej ceglarstwa.

Zgłoszenia przyjmował do 15 lutego b. r. p. Czypicki, obrońca prawa w Koźminie.

Przy tej sposobności zwrócono uwagę szerszej publiczności na zawód ten. Szkoły zawodowe dla przemysłu z gliny znajdują się dwie na Śląsku i to w Lauban i w Bolesławiu (Bunzlau). Kurs w Lauban trwa jeden rok; szkólne kosztuje 200 marek i w kwartalnych ratach naprzód się opłaca. Mieszkanie wraz z kompletnem utrzymaniem od 45 do 60 marek miesięcznie. Zakład ma na celu kształcenie na inspektora cegielni, mistrza palenia cegieł, mistrza ceglarskiego lub fabrykanta cegielni. Bardzo pożądanym poprzedni kurs praktyczny w cegielni lub fabryce keramicznej. Programy szkoły ceglarskiej (Zieglerschule) w Laubau dadzą dalsze objaśnienia. Szkoła nie przyjmuje uczni przed ukończonym rokiem życia siedmnastym.

Rządowa szkoła zawodowa dla przemysłu keramicznego (Keramische Fachschule) w Bolesławiu (Bunzlau) ma szerszy zakres; celem jej nabycie nietylko wiadomości chemiczno technicznych i fizykalnych we fabrykacyi przemysłu glinianego, lecz i artystycznych i rozwinięcie zdolności w tymże kierunku. Kurs trwa dwa lata; udziela się tamże: nauki rysunków, malarstwa, modelowania, teoretycznej i praktycznej chemii, fizyki, mineralogii. rachunków, niemieckiego i nauki w pracowniach warsztatowych.

Bliższe objaśnienia podaje program, który dyrekcya zakładu na żądanie prześle. Im lepsze wiadomości posiada uczeń, tem większe korzyści ze szkoły odniesie. Zawód ceglarski szczerze abituryentom szkół średnich oraz opuszczającym niższą sekundę gimnazyum lub szkoły realnej polecić można.

Z praktyki dla praktyki.

Kalendarz robót na marzec.

Rolnictwo. Skoro rolnik z końmi na pole wybrać się może, rozpoczyna się wiosenna uprawa roli. Zimowe wysiewy należy przycisnąć walcą pierścieniowatą, albo zabronować je, tym sposobem ścieśnia się ziemia koło korzonków i chroni rośliny od zimna. W marcu i w kwietniu ma rolnik najtrudniejsze zadania, od których wykonania zależy całe żniwo. Słabe miejsca trzeba lekko namierzwić płynnym nawozem, albo posypać saletrą chilijską, nie za grubo jednak, najwyżej 1 cm. na hektar. Jeżeli powietrze wolne, można rozrzucać nawóz. Pola zawsze zbyt mokre, należy teraz już drenować. Koniczyna i lucerna powinny być bronowane, jeżeli ziemia dosyć obeschła, aby poruszeniem skorupy ziemnej ułatwić powietrzu wniknięcie do głębszych pokładów ziemi, równocześnie zabrać się do czyszczenia pola broną od zielska i obumarłych roślin zbożowych. Jeżeli żyto z powodu zimna mocno ucierpiało i jeżeli roślinki rzadko stoją, to trzeba o ile możności jak najprędzej zasiać w nie seradellę. Tym sposobem oszczędza się przeorania i otrzymuje wczesną i doskonałą paszę zieloną, po której można ziemię uprawić pod kapustę, ćwikłę i t. p. Nie rozwinięte żyto należy mierzwić z góry saletrą chilijską (3—4 ctr. na hektar), ale saletra musi być poprzednio zmieszana z 4 ilością dojrzałej ziemi kompostowej. Koniczyna i lucerna potrzebują też często mierzwienia z góry kainitem albo saletrą chilijską, jedno i drugie powinno również być zmieszane z powyżej wymienioną ilością kompostowej ziemi. Nawóz posypać przed bronowaniem. Co do uprawy ziemi pod zasiew, to przedewszystkiem pilną zwracać należy uwagę na wilgoć roli, ponieważ za wiele lub za mało wilgoci tem gorszy wpływ wywiera, im większą lub mniejszą jest w ziemi zawartość gliny resp. piasku. Głębokość brózd powinna się zastosować do tego, co ma być zasianem, regułą jednak jest orać jak najgłębiej, aby korzenie roślin znaleść mogły w głębszych warstwach ziemi potrzebne pożywienie. Zagony pod warzywa, które później mają być sadzone, muszą teraz już być przygotowane i częścią obsiane. Do tych zagonów nadają się wszystkie kawały pola dobrze umierzwione a położone na południe. Można też rozpocząć teraz wysiew latowej pszenicy, latowego żyta, owsa, wyki itd.

Kartofle na nasienie powinny być przygotowane, uważać jednak na to, aby kłęby zupełnie były zdrowe. Kartofle leżące jeszcze w kopcach, oraz ćwikłę z kopców trzeba przenieść do sklepów,

aby później nie tracić na to czasu. Rychłe kartofle można już w marcu sadzić, jeżeli rola zostanie przykryta nawozem. Pod późniejsze kartofle, kapustę i ćwikłę wywozić mierzwę i rozrzucać ją. Próżne stodoły i piwnice czyścić starannie i przewietrzać, w dni deszczowe zaś wiązać powrósła.

Bydło. Koniom i wołom, których ciężka praca rozpoczyna się teraz, dawać lepszej paszy i strzedz je bardzo od zaziębienia, którego na wiosnę o wiele łatwiej nabawić się mogą, niż latem. Dlatego też ostrożnie z przewietrzaniem stajen i obór. Gdy konie i woły zaczną zmieniać włos, należy utrzymywać je w największej czystości, oraz dawać im kuchy lniane. Źrebięta grudniowe, jeżeli są dostatecznie rozwinięte, odsadzić i zachowywać przytem wszelkie przepisane ostrożności. Woły robocze powinny tylko zawsze pół dnia pracować. Hodowla cieląt wymaga teraz także największej uwagi i staranności.

W owczarni nie ma w marcu wielkich jeszcze zmian, bo owiec wypędzać nie można.

Tuczniki bić w marcu, chlewy macior utrzymywać w największej czystości i zważać na temperaturę. Najmniej 15° C. powinno w nich być.

Króliki przyzwyczajać zwolna do częstszego jedzenia, mianowicie, jeżeli powietrze ciepłe.

Pszczoły Otwory wylotowe jak największej ścieśniać, przy zimnem powietrzu i wietrze zupełnie zamknąć. Z zachowaniem wszelkiej ostrożności dawać pszczołom mąkę, później zaś cukier, zwilżony ciepłą wodą. Gdzie potrzeba, łączyć małe roje. Na końcu marca zaczyna się podkurzanie.

Warzywo. Z nadejściem wiosny dużo jest pracy w ogrodzie. Skopaną poprzednio już ziemię przerzucić lekko raz jeszcze, suchą ziemię jednak niezbyt głęboko, aby się w niej wilgoć zimowa zachować mogła. Ziemię ciężką i mokrą natomiast skopać dobrze, aby o ile możności stała się pulchną. Główną uwagę zwracać trzeba teraz na inspekta, ale i na zagony można już siać rozmaite warzywa, szpinak zaś siać trzeba po raz drugi. W miejscach zacisznych wysadzać flance kalafiorów, kapusty wszelkiego rodzaju i kalarepy, chociaż to ma czas właściwie aż do kwietnia.

Ogród. Drzewa owocowe czyścić i obcinać, tak samo postępować i z innemi *drzewami i krzewami* w ogrodach i parkach. *Kwiaty* przesadzać, uszlachetniać, szczepić wiśnie i śliwki. Aprykozy i brzoskwinie chronić jeszcze przed mrozem, kuliste, czerwonokwitnące akacye szczepić na zwykłe. Nasiona kwiatów siać w inspekta i na zagony. Przykrycia kwiatów, stojących w zimie w ogrodzie, poluźnić nieco albo zdjąć zupełnie. Jeżeli powietrze sprzyja, to trzeba teraz rozpocząć przesadzanie na klomby kwiatów wytrzymałych, n. p. aurykli, prymulków, gwoździków i t. p. Róże powinny też być sadzone, stare krzewy zaś odświeżone. Georginie, begonie, cannasy i t. d. flancować w doniczki albo w miernie ciepłe inspekta. Przygotować klomby i rabaty, czyścić trawniki i naprawiać ścieżki i ganki w ogrodach.

Sigma.

Z hygieny.

Pielęgnowanie zdrowia.

Sztuka przedłużenia życia. Nie mamy zamiaru mówienia dziś ani o starym Hufelandzie, którego dzieła wywołały około połowy tego wieku podziw lekarzy, i przetłomaczone na język chiński, zachwycały mieszkańców państwa niebieskiego, ani o napojach cudownych dawniejszych czasów, obiecujących nierozsądnym i łatwowiernym wieczną młodość, tylko o środku, który nazwać można dzieckiem naszego czasu, t. j. o eletryczności. Siłę jej odmładzania odkrył niedawno pewien lekarz amerykański, dr. Althaus.

Wszystko to brzmi bardzo fantastycznie. Nasza generacya, usposobiona sceptycznie, nie wierzy w cuda, a jeżeli wiadomość podobna przychodzi jeszcze z kraju Yankesów, gdzie fantazya i wynalazki więcej mają pola, niż gdzieindziej, to wątpimy z góry o takich nowinach i nie zważamy na nie wcale.

Że prąd elektryczny ma wielkie znaczenie w licznych chorobach, o tem wiemy bardzo dobrze, ale aby miał powstrzymać naturalny upadek naszych sił żywotnych, to jakoś nie zdaje nam się możliwem. Dr. Althaus, który się osiedlił w Londynie, jest przecież zupełnie pewnym swej sprawy, a metoda jego ma być nieomylną. Najnowsza kuracya, jaką u niego odbył sławny angielski artysta dramatyczny, Henry Irwing, powiodła się znakomicie. Wielki artysta urodził się w r. 1838, a więc skończył już lat 60, a trudy zawodu jego tak mu nadwyrężyły zdrowie, że przyjaciele z głębokim żalem oczekiwali chwili jego śmierci. Dziś jednak, dzięki sztuce dr. Althausa, odzyskał on całą dawniejszą swoję siłę cielesną, i ma nadzieję dożyć lat Matuzalowych. Wypadków takich jest podobno bardzo wiele.

My dzieci tego świata jesteśmy wogóle niezmiernie oddaleni od biblijnego ideału, podług którego życie nasze powinno trwać lat 70. Najnowsze statystyki wykazały, że wiek nasz dochodzi przeciętnie trochę tylko nad 50 lat. Odtąd zaczynają nerwy się odzywać, ściany komórek krwionośnych zmieniają się, którą to zmianę zowią lekarze „arterios klerosą“, elastyczność tychże ścian zmniejsza się, i człowiek tracił siły zupełnie. Wszystko to dzieje się tem prędzej, im większemi były wymagania, jakie walka o byt stawiała. Gdzie jednak nie ma żadnych organicznych błędów oraz innych chorób, tam można jeszcze osięgnąć wiek nieco wyższy, i tę możliwość daje nam właśnie dr. Althaus, za pomocą prądu elektrycznego.

Dr. Althaus kazał skonstruować mały, pojedyńczy aparat w celu umożliwienia działania prądu elektrycznego na mózg. Pacyent siada więc na krzesło, a binda, otaczająca jego czoło, jest połączona z dwoma elektrodenami, z których jeden położonym jest na czole, drugi na dolnej części karku. Althaus używa tylko stałego prądu, tak mocnego, aby pacyent nie doznawał żadnego przykrego uczucia. Każde posiedzienie trwa 50—60 minut.

I po dwóch lub trzech tygodniach czuje się pacyent o wiele silniejszym, postać prostuje się, trawienie staje się lepszem, a fluidum elektryczne uwidocznia coraz to wyraźniej swoje odmładzające działanie. Zmarszczki na twarzy znikają i nawet posiwiałe włosy starca odzyskują pod wpływem cudownego działania elektryczności pierwotny kolor. Byleby się tylko na tym punkcie nie czuli pokrzywdzonymi fabrykanci kosmetyków!

M. P.

Wychowanie dzieci.



(Hazard u dzieci).

Od kilku miesięcy rozbrzmiewa okrzyk: „Walczmy z hazardem!“ Zawiązują się Towarzystwa, mające na celu przeciwdziałanie tak rozpowszechnionej grze w karty i t. p.

Otóż chcę tu powiedzieć słów parę o szczególnej formie hazardu, o hazardzie wśród dzieci.

Tak jest. Nasza dziatwa, bezwiednie może naśladując starszych, zabawia się w gry hazardowe i demoralizujące. Między innemi prawie wszyscy starsi chłopczy w wieku od lat 9 do 13 zabawiają się przeważnie w gry hazardowe, w tak zwane „kółeczko“. Gra ta polega na tem, że uczestnicy jej oznaczają metę przez wbicie w ziemię małego słupka, do której rzucają następnie kółeczka. Czyje kółko upadnie na metę, ten wygrywa.

Rozpowszechniona jest też inna gra, zasadzająca się na tem, że biorący w niej udział wybierają z pomiędzy siebie jednego, któremu składają rozmaite przedmioty, jako to: marki pocztowe, scyzoryki, pieniądze i t. p., ten po kolei bierze każdy z przedmiotów w rękę, prawą lub lewą, tak jednak, by inni tego nie widzieli i każe towarzyszom zgadywać. Kto odgadnie, w której ręce mieści się przedmiot — wygrywa. Sam znałem paru takich chłopców, którzy z dumą chwalili się, że im „zawsze szczęście służy“, — co gorzej, znałem i rodziców, którzy pieszczochom swoim dawali pieniądze, przeznaczone właśnie na takie gry.

Co z takich dzieci wyrośnie?

Bo, że przywykanie zawczasu do takiej zabawki, nie posłuży im, nie przyniesie pożytku — to pewna.

Świadczą o tem ich twarze, przedwcześnie rozpalone gorączką namiętności, wzburzone w czasie gry, ich rozmowy, prowadzone między sobą.

Kreślę te słowa w nadziei, że rodzice, chcący, by ich dzieci wyrosły na jednostki zdrowe moralnie i fizycznie, zwrócą baczniejszą uwagę na to, czem się zabawiają te dzieci. Przysłowie mówi: „Czem skorupka za młodu nasiąknie tem na starość trąci“, a przysłowia są mądrością narodów.

T. D.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

Mortko z żoną mieszkał w izbach dwóch osobnych, do których przyszedłszy, zdumieć trzeba było nad czystością i porządkiem tem dziwniejszym, że w ładzie całym przebijało coś niezwykłego u żydów, bo prawie artystycznego. Były firanki i kwiaty, i sofy porządne, i stoliki politurowane... lecz to się zdarza u żydów. Ale co się nie zawsze zdarza, to wiszące po ścianach obrazy. Zamiast tych zwykłych bohomazów z wiosną i innemi porami roku, z żydowskim Józefem i t. d., były ryciny nowsze w złotych ramach, ryciny z dziejów polskich. A w drugiej izbie, oddzielonej białą jak śnieg, pięknie udrapowaną firanką od sypialnej alkowy, z większem jeszcze zdumieniem spostrzedz mogłeś najlepsze ryciny, przedstawiające same znakomitości polskie, polskich wieszczów od Adama zacząwszy aż do Zygmunta, polskich uczonych i polskich jenerałów. Pomiędzy rycinami, jakby w ich ramy ujęte, na miejscu najwydatniejszem, był portret olejny przedstawiający Kościuszkę w chłopskiej sukmanie, nie jak go zwykle malują z wzniesionym do góry orężem, ale z kosą w ręku. Pędzel był wcale niezły, pełen młodzieńczej świeżości, a nawet fantazyi, odbijającej się z pewnym wdziękiem w oświetleniu jaskrawem ogniska obozowego, którego główne promienie padały na twarz polskiego bohatera i w części na widne z dali na pół w mgle nocnej niknące wieże starego grodu krakowskiego, i mury królewskiego zamku. Tuż pod Kościuszką wisiał mniejszy obraz, widocznie tegoż samego pędzla, przedstawiający krwawą walkę i ginącego pod Kockiem pułkownika Berka.

Zkąd do takiego przystrojenia karczmy przyszedł Mortko konstantynowski, darmoby łamał sobie głowę obcy przybysz, którybyn nie wiedział, że ta karczma mieściła jeszcze jednego mieszkańca, o którym dotąd nie wspominaliśmy. Był nim wnuk ulubiony Mortka, którego zwano w rodzinie Józefem, mimo całej ochoty nazywania go Joslem, bo jak wnuczek raz przytem obstał najdobitniej, dziadek przywiązany wydał rozkaz kategoryczny, by tak a nie inaczej go nazywano.

— Niech będzie mu Józef! — powiedziała babka, która tak go sercem kochała, że ledwie oczami nie zjadła.

— Wun taki mądry!... mądrzejszy od tamtego Józefa, co o nim nasze stare pisma piszą! — powiedziała cała rodzina.

I został Józefem konstantynowskim.

— Był on synem najulubieńszej córki Mortka, Esterki, która już dawno umarła, a o której gdy Mortko i Basia kiedykolwiek mówili, to się zawsze spłakali.

Esterka była sławną w całej okolicy pięknością. Urodzona i wychowana w karczmie, miała dziwne jakieś usposobienie marzące, rzecby można idealne. Zkąd jej to przypłynęło, ten tylko zdoła odgadnąć, kto odgadnie, zkąd na bagnach polskich, wśród zielska rozmaitego, w mały skromny kwiatek, co ledwie główkę z pcza liści wychyla, spływa tyle krasy barwnej i tyle cudnej woni... Esterce duszno było w karczmie ojcowskiej; ona okiem marzącem wybiegała po za jej smutne i ciężkie granice; i wybiegając okiem, wybiegła biedaczka sercem... Raz tylko ujrzała jakiegoś młodego krewniaczka Gradowskich, który w ułańskim stroju był w odwiedzinach u rotmistrza, i który, gdy wstępującemu do karczmy podała na srebrnej tacy kieliszek słodkiej wódki, tak się słodko na nią spojrzał, tak lubo uśmiechnął, a tak grzecznie i szczerze podziękował, że biedne, piętnastoletnie dziewczę, już odtąd tylko marzyło o tych siwych oczach, o tym wąsiku jasnym, o tym uśmiechu jakby o promieniu z nieba otwartego... i o niczem innem ni marzyć, ni śnić już nie mogła. Odtąd świat co ją otaczał, stał się obojętnym, a serce uderzało tak przyspieszonem biciem, że się chwile w godziny, dni w miesiące, a miesiące w lata zmieniały.

Wydano ją zwyczajem żydowskim, za nieznanego młodego kupca, który ją wywiózł do Warszawy. Mąż jej był młody przystojny i dobry człowiek; pokochał ją szczerze, ale ona jego twarzy nigdy nie widziała, bo inny obraz stał między nim a jej oczami. Cicha, potulna, żyła cichem, milczącem życiem, a gdy dostała syna jedynaka, w niego wlewała wszystkie skarby swych, myśli i marzeń niepojętych.

Chłopiec miał ledwie lat dziesięć, gdy matka umarła po długiej powolnej słabości, ale nigdy jej nie zapomniał, i nie zapomniał nigdy ostatnich słów:

— Józiu, kochaj twoją ojczyznę! bo to twoja ojczyzna ta śliczna nasza Polska!... bo ty Polak mój Józiu serdeczny!...

Biedna kobieta, ona kochała tę ojczyznę, kochała tę Polskę, bo ten kraj, ta Polska, była ojczyzną tego, którego nigdy nie zapomniała.

Ojciec Józefa choć kupiec i spekulant, a może właśnie dlatego, był człowiekiem postępowym, i sprzyjał w pewnych granicach sprawie narodowej. Nic więc nie miał przeciw temu, że syn jego, jedynak ukochany, starał się jak najwięcej obznajmiać i żyć z młodzieżą polską. Wśród samych prawie Polaków wychował się Józef; usposobienie, które wziął po matce, w nim się wyrobiło w popęd wyższy do wszystkiego co szczytne, co wielkie. To też cóż mu się mogło wydać szczytniejszem, co wyższem od dziejów narodu nieszczęśliwego, który tyle miał wielkiej sławy w przeszłości, a w teraźniejszości tyle wielkich mąk i bolów... Józef miał serce poetyczne i wyższe zdolności. Dzieje polskiej ojczyzny studjował, unosił się polską poezyą, śpiewał pieśni polskie, a gdy się w nim rozbudził talent do malarstwa, (bo on to był twórcą obu obrazów olejnych w Mortkowej karczmie) rzucał na płótno same polskie przedmioty. Prócz jej usposobienia wziął też po matce i słabe zdrowie. Ojciec kłopocąc się tem zdrowiem jedynaka, przestraszony wyrokiem lekarzy, że na jego słaby i nerwowy układ jedynem lekarstwem być może świeże i wiejskie powietrze, wyprawił syna do dziadka, który dawno się o to domagał, chcąc syna ukochanej Esterki choć raz w życiu oglądać.

Przyjazd Józefa do Rozdroża był prawdziwą epoką w życiu Mortka i Basi. Dziadowi i babce zdało się, że widzą ukochaną Esterkę, tę perłę najdroższą, którą się tak krótko cieszyli. Ależ bo Józef był podobniuteński do matki; ten sam cudnej czystości profil prawdziwego typu wschodniego; ta sama cera blada, przezroczysta, a ciemniejszą zda się krwią wschodnią pocieniowana; to samo oko wielkie, pełne, ciemne jakby bezdenną głębokością, a promieniste, jakby najczyściejsza gwiazda nasza. Dodatek ciemnego wąsika i długich, gęstych, jak jedwab cienkich i miękkich, długo spadających włosów, wzrostu wzniosłego, wysmukłego i budowy choć nie silnej na pozór, ale pełnej siły wewnętrznej, mężkiej, choć może nerwowej zanadto, upiększał jeszcze młodzieńca. Jeszcze w ich oczach kraśniejszym go czynił rumieniec, częsty gość jego twarzy, rumieniec ciemny, jaskrawy, który się starym wydawał rumieńcem zdrowia, choć właśnie nad nim stołeczni lekarze najwięcej głowami kiwali. Jedyna rzecz, która w pierwszej chwili przykro ubodła starych, była czamarka, którą nosił Józef, która go może jeszcze piękniejszym czyniła, ale się nie godziła wcale z wyobrażeniami ich starozakonnemi.

Lecz się musieli pogodzić z czamarką, bo Józef, chociaż wylany sercem i potulny względem dziadka, babki i całej rodziny, miał w sposobie mówienia i w całym układzie coś tak stanowczego, że przed tem niknąć musiała wszelka drobiazgowa opozycya. Owóż Józef, przyjechawszy do karczmy, zaczął edukacyę Mortka. W przewrotnym porządku wnuk wychował dziada. Czamarka stała się pierwszym szczeblem wychowania polskiego, które przebyli stary żyd i stara żydówka podolska. Za czamarką przyszły obrazki z tłumaczka wydobywane; za obrazkami poszły opowiadania o nich, o przeszłości i teraźniejszości, ludzi i zdarzeń z niemi połączonych. A gdy przyszły na ścianę portret Kościuszki i obraz bohaterskiej śmierci żyda Berka, pułkownika polskiego, przyszły i nauki przyszłości narodowej, w której tłumaczył im wnuk znaczenie braterstwa narodowego, jakie łączyć powinno dzieci jednej ziemi, dzieci jednej matki ojczyzny, choć je dzieli wyznanie. Miłość, jaka przywiązuje zwykle dziadów do wnucząt, stała się dzielnym czynnikiem tego wychowania wstecz działającego. I ten czynnik jest tak silny i naturalny, że nie wahałbym się postawić jako zasadę, że w dziedzinie uczuć

i myśli łatwiej wnuk stać się może nauczycielem dziada, niżeli dziad wnuka. Mortko sam nie wiedział, jakim sposobem został dobrym Polakiem, na słowo syna gotowym wyrzec się dawnych narowów i przesądów, a nawet gotowym do poświęceń dla tej sprawy, którą pokochał, bo ją kochał wnuk drogi, a przedstawiał ją tak cudownym, zaraźliwym zapałem. I większego jeszcze cudu dokonał, bo nietylko Mortka, ale i Basię przerobił. Stara żydówka, u której prócz żydów wszyscy inni byli gojami, a od gojów rozróżniała jeno puryców dlatego, że więcej z nich korzystać mogła niżeli z prostych gojów, uwierzyła wreszcie, że i goje i purycy są ludźmi nawet, a co więcej, że trzeba ich miłować jak braci, dlatego że są takimi samymi ludźmi, jak i synowie Izraela na ziemi polskiej urodzeni. Wpływ Józefa był chociaż w części tylko zbawienny na resztę rodziny. Już nawet młode bachorki odpowiadały na zapytania: Kto ty jesteś?

— Jestem Polakiem!

A nawet belfer, to w historyi naturalnej po ośle najupartsze stworzenie, przestał kułakami napędzać rozum do małych głów ujarmułkowanych, i nauki swe jak mógł nałamywał do polskiego języka.

Tak rzeczy stały w chwili, kiedy wchodzimy do karczmy Rozdroża. Wszedłszy do pierwszej izby Mortkowego pomieszkania poznać odrazu, że czynią tam jakieś przygotowania na przyjmowanie jakichś gości. Stół w pierwszej izbie nakryty białym jak śnieg obrusem, potężny na nim spoczywa kukiel z najczystszej mąki, obok niego na srebrnych półmiskach leżą pierniczki i makagigi. Dwa nakrycia przy sofie spoczywają obok siebie w najczulszej zgodzie. Pani Basia z miszerusem przygotowała w drugiej izbie wanienkę z wodą, z której sterczą różnobarwnym lakiem popieczętowane butelek główki. Z przeciwnej strony dochodzi woń dosmarzającej się gęsi i pieprznej a cebulnej ryby, w której przyrządzeniu Ryfka jest najpierwszą w gubernii mistrzynią.

— Możeby lepiej w tamtej izbie, koło tych portretów — mówił Mortko.

— Nie, dziadku! — odpowiedział Józef. Widok tych portretów nie jest dla Moskali. Oni nie są warci patrzeć na nie; i toby nawet naszej sprawie zaszkodzić mogło.

To rzekłszy, zamknął Józef drzwi od drugiej izby szczelnie i dodał:

— Lepiej nawet, żeby tam nie zaglądali. Widok naszych obrazków mógłby oburzyć moskiewskie oczy, jakby widok aniołów, który szatana do wściekłości jest w stanie przyprowadzić.

— Ale dlaczego sam nie chcesz być przy rozmowie naszej?

— Jabym mógł zaszkodzić!... Nie gniewaj się dziadku, ale ja z nimi bym nie umiał gadać ich językiem. Ty dziadku lepiej to potrafisz.

I pocałował dziadka tak czule, że znikła przykrość, jaka się mogła ukrywać w tych słowach.

— Kieską tylko im brząkaj! — dodał uśmiechając się Józef. — To język najzrozumialszy i najmilszy dla uszów moskiewskich.

XIV.

Po chwili gdy Józef wyszedł i Mortko przechadzał się po izbie nie bez niespokojności, ozwał się lekki tętent zbliżającego się konia, i wkrótce przez drzwi ostrożnie otwarte, pojawił się najprzód daszek od czapki, mundurowym lampasem okrążonej, a za nią twarz długa i jeszcze dłuższa szyja, wreszcie figura, również jak czapka umundurowana. Był to mężczyzna, jak mówiliśmy, w którym przeważała długość i chudych policzków i nosa na nim, i jeszcze dłuższej brody, i długość szyi, i nareszcie najdłuższa długość cienkich, patyczkowych nóg. Był on młody jeszcze i niebrzydki nawet, gdyby nie ta przesadna długość i chudość, która go odznaczała, a mianowicie gdyby nie to piętno prawdziwie miedziane na czole i twarzy, jakiem się odznaczają po większej części wszyscy niżsi urzędnicy moskiewscy, i gdyby nie zyzowate, bure, fatalnym wzrokiem obdarzone oczy, dobywające się z pod brwi krzaczastych, niepewnem świdrującem i śledzącem spojrzeniem. Był to typ silnie szpiegowski, któremu doskonale odpowiada wyrażenie moskiewskie: *Padlec...*

— Jak się pan zasidatel ma? — przywitał Mortko przybyłego.

— Jeszcze jej nie ma? — odpowiedział przybyły zapytaniem, i jął oglądać wszystkie kąty zyzowatemi oczami. — Czy pewnie przyjedzie? może nie przyjedzie?...

— Jakto nie przyjedzie!... kiedy Mortko zapewnił jaśnie pana zasidatela...

— Bo może brat nie puści!... On się czegoś będzie domyślać...

— Moja Basia przecie sama jeździła, aby donieść o rybach z mojego spustu w Dubowicach i prosiła, aby pan sprawnik sam czego najpiękniejszego wybrał. Panna Olga nawet nie chciała jechać, jak ją brat namawiał, aby sama karpiów i szczupaków wybrała.

— Nie chciała jechać?... jakto?...

— Przepraszam pana zasidatela, ale wielmożny pan nie chce zgadnąć, że moja Basia już pierwej szepnęła panny Olga do uszów, że...

— Ja tu przyjadę... z was Mortku dowcipny jest szelma — mówił z rubasznym uśmiechem Iwan Iwanowicz, zasidatel sądu niższego, czastnoj prystaw, mieszkający w Gradowcach, o którym już wspominaliśmy, a którego mam zaszczyt przedstawić czytelnikom moim w całej okazałości.

— Co by ja nie zrobił dla jaśnie pana zasidatela... daj Boże, żeby ja wielmożnego pana nazywał już prędko sowietnikiem...

— Nie tak łatwo...

— Dla czego!... — ja wielmożnemu panu przepowiadam i jaśnie pan będzie sowietnikiem... W tem rzecz malutka... a Mortko ma rozum i wie co mówi.

Iwan Iwanowicz zaśmiał się na to głosem tak grubym, że prawdziwie dziwić się trzeba było, jak się może dobyć głos tak gruby z tak cienkiego futerału. Śmiech ten po połowie był tylko zwrócony do pochlebstwa żydowskiego; po większej części właściwie skierowany był ten śmiech tak serdecznie gruby ku wchodzącej w tej chwili Basi, z wielkim sztofem doskonałej wódki brzesiłowskiej, sławnej na cały Wołyń, Podole i Ukrainę, z potężną półkwaterkową srebrną czarką.

— Wielmożny pan zasidatel po podróży! — przemówiła Basia obleśnie, i znając Iwana Iwanowicza, nalewała już do czarki z góry płyn barwy żółtej, jak bursztyn przezroczysty.

— Ale to dzieńgielówka!...

— Dzieńgielówka!... echt dzieńgielówka — powtórzyli obaj starzy małżonkowie.

— A chyba po podróży — rzekł Iwan Iwanowicz, i łyknął tak ochoczo, aż mu zyzowate oczy przez jednę chwilę stanęły kołkiem, zwrócone na wypróżnioną czarkę. Cmoknął ustami i jakby w zapomnieniu wyciągnął ku Basi próżną czarkę.

Basia też zrozumiała i napełniła ją co prędzej.

— Jeszcze jeden — ozwał się Iwan Iwanowicz z wyrazem wewnętrznego szczęścia na miedzianej twarzy. — No, to tylko chyba dlatego, żem się strząsł na tej szkapie, coś po mnie przysłał, żydzie niewierny, ty bestyo.

I łyknął drugi z równym zapałem, i równym sukcesem.

Żydzi uśmiechnęli się do zasitadela, mimo jego grubiańskich wyrazów, wiedzieli bowiem, że Iwan Iwanowicz im w lepszym jest humorze, tem dobitniejsze dobywa wyrazy z tego niewyczerpanego skarbca językowego, jakim jest u Moskali skarbiec przekleństw i grubiańskich wyrazów!... Jest to właściwość wspólna wszystkim prawie, nawet lepiej wychowanym Moskalom. Grubiaństwo jest u nich szczerością.... W interesie mianowicie tem lepszy, szczerszy i uczynniejszy jest Moskal, im więcej sadzi się na grubiańskie wyrażenia.

— Wielmożny pan zasidatel żartuje — zagadł Mortko, uśmiechając się do Iwana Iwanowicza z tym wyrazem niby obleśnym, niby pokornym, jaki przybierają nieraz żydzi z podobnymi jak nasz zasidatel ludźmi, a w którym patrzący ostrożnie dostrzeże łatwo sarkazmu pogardy. — Mego koń, to nie szkapa, i lekko nosi... to pańskiego konia, sam markiz chciał go u mnie kupić!

— No, to chyba trzeci wypić trzeba — przemówił znowu zasidatel, podsuwając czarkę. — Bo widzisz, ty psiawiaro żydzie, że jak moja śliczna barynia przyjedzie, to trzeba będzie pić to głupie wino, albo ten szelmoski wiśniak, bo moja krewna Olga nie lubi, jak ja sobie żłopię dziengielówkę.

— Extra fein dziengielówka.

— Dobra dziewka, ale głupia, jak wszystkie baby; nie wie, co dobrego. Mówi, że mi dziengielówka i wszelka wódka szkodzi. Jabym sam ogień pił, a jamajkę to szklankami. Im więcej piję, tem większy mam rozum. *Pasmotry Jewrej,* jak ja piję, a im więcej wypiję, tem lepiej umiem z ludźmi gadać. Ja wtenczas tobym od nieboszczyka nawet wydobył ruble i bumaszki... Jak ja mam w głowie kilka stakanów

wódki, tobym rodzonego brata tak uwikłał, żeby się mi musiał dzięgami opłacić.

Dawszy o sobie taką charakterystykę, golnął Iwan Iwanowicz trzeci stakan wódki, i dopiero teraz lekki rumieniec wystąpił na bladą twarz zasidatelską... rumieniec wódczany... bo z rumieńcem wstydu miedziana twarz tego czynownika moskiewskiego nie spotkała się nigdy.

— Twoja szkapa... *suki syn jewrej!* — mówił usiadając wreszcie — niekoniecznie zła, i prawda, że lekko niesie dosyć... Zkąd ty psie niewierny przyszedł do takiego haraszego konia?

— A prawda!... to mi koń... Markiz de Ketteler daje mi za niego czterdzieści dukatów.

— *Sorok czerwieńców! Jej Bohu!... to ładne dzięgi takie czerwieńce!...* aż się dusza do nich śmieje. Jabym chciał mieć takiego konia, co by za niego wziął *sorok czerwieńców!*

— To ze stajni pańskiej koń, to nie tutejszy.

— Nie tutejszy?... *a od kawo?* — zapytał ciekawie zasidatel, i wyciągnął uszy, o których powiedzieć zapomnieliśmy, mówiąc o wszystkich długościach Iwana Iwanowicza; a tymczasem stosunkowo miał on ze wszystkich długości swoich najdłuższe uszy i to tak w fizycznem, jak i moralnem znaczeniu...

— Ja go dostał aż z Galicyi.

— Z Galicyi, z zakordonu?... Basia, podajno jeszcze dziengielówki.

Golnął znowu, rumieniec mu pociemniał, a oczy iskrzące zwrócił do pieca, co znaczyło właśnie, że je z ogromną uwagą wcisnął w stojącego przed nim żyda.

— Z za kordonu, panie Mortku... *A znajetie wy!* Mortko konstantynowski, że to kontraband!... *a znajetie wy,* czem to pachnie kontraband!... *wot to* śledztwo gotowe.

— *A znajetie wy* — przemówił Mortko z wyraźniejszym kpiącym przyciskiem — dla kogo ja sprowadził tego konia, Iwan Iwanowicz?

— *Ja nie znaju!...*

— Ja sobie pomyślał, że *nasz czastnoj prystaw* nie ma własnych koni, że musi zawsze jeździć *powózkami na wsie śledztwa...* a szkoda, bo nasz Iwan Iwanowicz, to *prekrasny człowiek!...* Tak sobie *dumał!...*

— *Śliczna dumka* — przemówił zasidatel. — *Wy prekrasno* gadacie...

— Ja was Iwan Iwanowicz bardzo kocham — mówił Mortko dalej z wyrazem rozczulenia stopniowego, dochodzącego coraz wyżej aż do najkomiczniejszego patosu. — Ja przepraszam wielmożnego pana, że ja tak poufale śmiem was nazywać... ale ja wam bardzo przychylny...

— *Nu, niczewo, niczewo...* i ja was lublu Mortku konstantynowski... *nuże gawary dalej!...*

— I ja ten kontraband dla was uczynił...

— Dla mnie?... Iwana Iwanowicza?

— Nu dla was... weźcie tego ślicznego kontraband — dodał rozczulający się coraz więcej Mortko, i w zapale czułości podał obie ręce Moskalowi, które ten przyjął i uścisnął najserdeczniej.

— Wy jesteście *lubieżnyj jewrej!...* żebym zdechł jak pies!... Wy poczciwy *sukin syn!...* I markiz dawał wam za niego *sorok czerwieńców...*

— Pod *chajrem* dawał... spytajcie go sami.

— A jużci go spytam!.. *sorok czerwieńców...* Wy Mortku, ja wam mówię, wy mój serdeczny *druh!* — odrzekł Iwan Iwanowicz z niemniejszem rozczuleniem.

Nagle się zaśmiał najgrubszym basem, a zaśmiał tak szczerze, że się aż za boki porwał i rzekł rubasznym tonem:

— *A szto ja wam skazał,* ty psie niewierny!... Jaki ja mam rozum, jak się *wódki* napiję!...
Ot ja sobie tak przyjechał w gościnę... i już kontraband!... i już jest *sorok czerwieńców...* ja chciał już powiedzieć: jest już koń!...

— A prawda! — potaknął mu Mortko, zadowolony najzupełniej, bo mu się udało wódką i kubanem przysposobić zasidatela jak najlepiej do swoich zamysłów.

— No ale mohorycz się należy — dodał Mortko — może teraz wiszniaku?

— *Niet!...* Dzieńgielówki!...

— No, to pijcie, ale prędzej, bo słyszę turkot... to już wasza panna jedzie... poznaję po szybkim biegu moich koni, które posłałem po pannę sowietnikównę.

— No! dawaj żywo!...

I palnął sobie Iwan Iwanowicz piąty stakan i tyle tylko miał czasu, żeby obetrzeć bezwąsne usta i potrząść kędzierzawe bakenbarty, co było u niego pojawem zalotnych zamysłów. Już wchodziła przez drzwi panna sowietnikówna, Olga Onufryjewiczówna Flieders.

Jeżeli zasidatela z sowietnikówną, jak się już łatwo domyśleć i o czem nawet wspomniał już sprawnik w rozmowie z rotmistrzem — łączył serdeczny stosunek, wyznać potrzeba, że gruntował się na ogromnej harmonii. Nie mówię tu o harmonii duszy, bo nie znamy jej jeszcze, lecz była wielka harmonia fizyczna. Panna Olga harmoniowała bowiem z nim tak długością, jak i suchością swojej wysokiej figury. Twarz miała szczególnie długą; jedyną na niej szerokość stanowiły usta, nadto hojnie rozcięte, co przecież wcale nie szpeciło twarzy, zresztą młodej, świeżej, upiększonej najgłówniej przez oczy wielkie, ciemne, szczerością odznaczone. Taż sama szczerość i otwartość, a nawet dobroduszność była głównym wyrazem twarzy, a nawet krasiła usta za szerokie, uśmiechem wesołym, który zdawał się ich nigdy nie odstępować. Szerokie zaś usta przyroda nie darmo jej snać dała, bo niezwykła gadatliwość zdawała się być sowietnikównej kardynalną właściwością, co już poznać było zaraz można przy przywitaniu głośnem i wielomównem, jakiem obdarzyła i zakochanego zasidatela, i stare gospodarstwo. Była w przywitaniu zupełna równowaga zapytań i odpowiedzi, którémi nie czekając na drugich sama sobie jak najwyraziściej odpowiadała.

Iwan Iwanowicz stał przed nią z równą czułością jak respektem i na nawał słów odpowiadał nawałem ucałowań ręki, znakomicie potężnej.

Sowietnikówna oświadczyła wprawdzie z góry, że nie ma czasu, bo brat i gospodarstwo nań czekają, że chce coprędzej zrobić wybór pomiędzy rybami, ale niemniej przeto usadowiła się z wielbicielem na sofie, i zrobiła wyznanie, że jest przy wielkim apetycie.

— I ja także, śliczna panno Olgo — zawtórował wielbiciel.

Dla przygotowania apetytowi drogi, wychyliła dwa spore kielichy różannej wódki, przyczem udało się zasidatelowi przemycić gładko szósty z kolei stagan dzięgielówki. Mortko z Basią i sławną Ryfką zajęli się ustawianiem owych z wanienki wydobytych butelek, które panna Olga przepatrywała ze znajomością rzeczy, wymieniając trunki zastawionych płynów.

Zanim przyniesiono jadło, panna Olga zmiatając srebrne talerze z piernikami, nie próżnowała tymczasem i między piernikiem a makagigą umiała wcisnąć nie mało słodkich słów do wielbiciela zwróconych, z dodatkiem skarg na brata, że od niejakiego czasu jakoś krzywo patrzy się na konkury zasitadela i jej ku niemu niemniej czułe afekta.

Opisem całej biesiady nudzić nie myślę czytelników moich, ani też spisywać to wszystko, co panna Olga przez ten czas nagadała. Im więcej jadła i piła, tem głośniejsze i rzewniejsze były jej skargi na niepoczciwą srogość brata.

— Przecie on wie — mówiła, trącając się lampką z Iwanem Iwanowiczem — że wy mnie kochacie... no, i że ja was kocham i sam dawniej był za naszym związkiem. Ale odkąd mu wlazła do głowy wnuczka rotmistrza, powtarza mi ciągle, że on mnie lepszego znajdzie męża.

— Lepszego odemnie — rozpaczliwie przemówił zasidatel i jeszcze rozpaczliwiej popił wiszniakiem. — Ach ja nieszczęśliwy!

— Nie macie się czego obawiać. Ja was kocham szczerze, Iwan Iwanowicz.

Rzekła to z wyrazem, który naprawdę dodał jej ustom szerokim prawdziwej piękności. Znać było szczerość prawdziwą w jej słowach i ich przycisku.

— Ja was kocham!... Bóg widzi, że prawda — odpowiedział zasidatel z takim przyciskiem, że po prawdzie uwierzyć trzeba było, że nawet prystaw moskiewski może jeszcze kochać.

I cóż wreszcie dziwnego. Dlaczegoż i u Moskali nie ma istnieć szczera miłość.

— Ale wnuczka rotmistrza jest bardzo bogata, to on jej nie popuści — dodał zasidatel.

— W tem bieda nasza — odrzekła Olga.

— Nie tak bogata, jak pan sprawnik myśli — zagadł Mortko, który się koło nich kręcił ciągle i rozmowie z wielką przysłuchiwał się uwagą.

Jak łatwo się domyślić, Mortko nie bez celu sprowadził u siebie zakochanych. Za ich pomocą spodziewał się on zniszczyć plany sprawnika, i co było rzeczą najważniejszą, przekupić go, aby nie zrobił użytku ze zdradzonej przez służą-

cego Piotra tajemnicy o stosunkach z Warszawą. Mortko jako żyd, znał doskonale wszystkie stosunki domowe sprawnika i wiedział dobrze, że największy wpływ na niego miała najukochańsza siostra Olga. Wiedział także, że Iwan Iwanowicz po części wtajemniczony jest w konszachty szpiegowskie Pawła Onufryjewicza. Jego więc przekupić i Olgę przekupić, a przez nich sprawnika, było zamiarem poczciwego arendarza.

— Jakto, nie bogata? — zapytała ciekawie Olga. — Wszakże rotmistrz jest bardzo bogaty.

— Bogaty i niebogaty — odrzekł Mortko. — On ma kapitały w papierach znaczne, ale ich nie da wnuczce, tylko w takim razie, jak pójdzie za mąż za syna markiza.

— A gdzież są te jego papiery? — pytała Olga ciekawie.

— Ba, w tem sztuka! on ich nie trzyma u siebie... ja sam dobrze nie wiem gdzie złożone, chociaż jestem na śladzie i za parę tygodni wiedzieć będę. A póki nie wiemy, gdzie są te papiery, to co przyjdzie panu sprawnikowi z tego, choćby go zadenuncyował. Dajmy na to, że jak rotmistrza zadenuncyuje i rotmistrza zabiorą, to co z tego przyjdzie panu sprawnikowi, choćby przymusił Konstancyą, by poszła za niego? Zaskale skonfiskuje rząd...

— A to prawda! szelma *jewrej* ma słuszność.

— Pana rotmistrza papiery bankowe zostaną schowane, a pan sprawnik dostanie za żonę gołą pannę.

— A to prawda, a jabym musiała jeszcze kłaniać się gołej bratowej, bo to zepsute pańskie dziecko.

— Ale te papiery — badał dalej zasidatel.

— Ba, już ja się o nich dowiem, ale mi trzeba czasu — odpowiadał Mortko, któremu pan Stanisław wyraźnie powiedział, aby na każdy przypadek starał się przynajmniej odwlec niebezpieczeństwo.

Żyd postępował dalej z nadzwyczajną zgrabnością. Dolewając ciągle i schlebiając zakochanym, tłumaczył im, że dla samego sprawnika byłoby lepiej, gdyby wziął gotówkę do kieszeni od rotmistrza.

— Teraz go można obedrzeć... ja sam pomogę!... — mówił żyd.

— A ileby dał naprzykład?! — pytał Iwan Iwanowicz.

— A nam co z tego przyjdzie? — zagadła panna Olga, w której mimo całej dobroduszności, w razach ważnych odzywała się żyłka godnej córy czynownika moskiewskiego...

— To już moja rzecz!... — szeptał żyd, nalewając na dokończenie biesiady mocnego czaju jamajka, którego zasidatel w roztargnieniu niby, coraz sobie dolewał.

I zaczęły się szeptane targi. Nie będziemy za niemi szli krok w krok.

— Dziesięć tysięcy rubli!... — wymówiła Olga po dłuższym targu, połknęła ślinkę...

— Będzie bogaty wasz brat!... ale my!...

Tu szepnął żyd i kochankowi i kochance, targując się osobno z nimi na czerwieńce, których, jak widzieliśmy, Iwan Iwanowicz był zapamiętałym lubownikiem...

— A pannie osobno na rękę! — szepnął do Olgi tak że Iwan Iwanowiez nie dosłyszał. — Na szpilki dwieście dukatów!...

Dosyć, że przy piątej szklance czaju, panna Olga obowiązała się wszyskiemi sposobami brata namówić, aby wziął pieniądze...

— Ale idzie o to, aby z ręki do ręki!... Ja mu dam pieniądze!... — powiedział Mortko — a pan sprawnik da mi ten papier, co mu wykradł Piotr, i sprzedał sprawnikowi...

— Bądź spokojny Mortkuniu! — mówiła panna Olga przy pożegnaniu. — Już ja sobie dam radę z bratem∴ będzie *pomir*... ale...

— A głównie! — odrzekł żyd po cichu — aby zatrzymać go, nim zadenuncyuje do rządu guberskiego... bo jak to zrobi, wszystko przepadnie...

— Chybaby już posłał... — odpowiedziała znowu Olga — ale nie!... nie!... tego jeszcze nie uczynił... o ja wstrzymam i wszystko zrobię... ale...

— Com przyrzekł, to dotrzymam... a tymczasem... aby mi panienka wierzyła...

Tu Mortko wściubił jej do ręki pakiecik z dwudziestu dukatami... Basia zaś wyniosła pyszną chustkę bagdacką i dała sowietnikównej, pod pozorem, że zimne są wieczory, ściskając jej rękę pokryjomu.

— A wy panie — szepnął Mortko zasidatelowi do ucha — dotrzymujecie słowa...

— Jak tylko przyjadę, napiszę donos do niższego sądu, że ani u rotmistrza, ani u pana Wydry garbarza, nie ma nic podejrzanego; że to tak tylko żydzi puścili w świat fałszywą wiadomość, przez złość, że im rotmistrz arendy nie chciał puścić... Zobaczycie jak to prekrasno napiszę... Ja dla was Mortku wszystko zrobię! — dodał, i wyciągnął rękę, na pożegnanie niby, ale właściwie spodziewał się, że mu coś jeszcze wlezie do łapy. I nie omylił się.

— To na zadatek — szepnął Mortko — dziesięć czerwieńców... A siodło wasze także!...

— Wy jesteście *wierutny!*... poczciwy!,.. *skatyna!* — rzekł mu jeszcze Iwan Iwanowicz na znak czułego pożegnania.

I jeszcze na pożegnanie uciął stakanik jamajki.

Sowietnikówna patrzała na to przez szpary, i tak była rozczulona, że nawet przy ostatniem słowie pożegnania, pozwoliła się wielbicielowi uścisnąć, i sama najczulej się przycisnęła...

A gdy wyjechali każdy w swoją stronę, Mortko zacierał ręce, a pan Józef wyszedł z drugiego pokoju, gdzie wszystko słyszał, i spojrzał za odjeżdżającymi wyrazem pełnym pogardy.

— Podli!... podli!... i tacy nami rządzą!... Daj Boże! — dodał z westchnieniem serdecznem — by się nam udało wyratować...

— Naszego poczciwego rotmistrza! — dokończył Mortko.

— I pannę Konstancyę!... — dodał Józef w myśli, i śliczny rumieniec wystąpił mu na bladą twarz.

Konstancya była dla młodego Izraelity ideałem najwyższej doskonałości, ideałem Polki prawdziwej.

XV.

Minął już tydzień od owego zjazdu w Łaszczyńcach. Rotmistrz przez cały ten czas nie był w domu, zkąd wyjechał, jak sam mówił, w sprawach pieniężnych. Konstancya przepędziła cały ten czas w usposobieniu nadzwyczaj niespokojnem. Wyjazd nagły dziadka, twarz smutna i pomięszana Stanisława przy ostatniem widzeniu się, wyrobiła w niej przy samotnem dumaniu jakieś usposobienie gorączkowe, w którem trapiły ją niepewne przeczucia.

— A może Stanisław oświadczył się... dziadek mu odmówił... a może on nie chciał mi tego powiedzieć!... — przemykało biednej dziewczynie po głowie.

— Nie! to być nie może!... Dziadek mnie tak kocha!... i Stanisława tak kocha!... tak go szacuje nawet! Nieraz mi to mówił, że takiego syna miećby pragnął — myślała innym razem.

— Lecz czegoż Stanisław nie przychodzi? — pytała znowu sama siebie pełna niepokoju...

Darmo biegała do kapliczki, i spoglądała ku znanym oknom pomieszkania Stanisława; okna były szczelnie zamknięte, a w garbarni zdawała się panować cisza zupełna.

— Przecież to jego okna, w których widziałam go nieraz stojącego, i patrzącego ku brzozom i kapliczce!... — mówiła sama do siebie... a serce dodawało: „I ku mnie!“ A teraz czyliż nie widzi mnie, że ja tu razy dziesięć na dzień przybiegam, i cały dzień prawie przesiaduję!... Niewdzięczny!... niepoczciwy!... A przecież ja wiem, że mnie kocha!... Może go nie ma w domu... a może słaby... bardzo słaby...

I co tchu popędziła do domu, i wyprawiła do miasteczka z poselstwem do Stanisława...

— Powiedz! — mówiła do dziewczynki, która już czekała na panienki rozkazy — powiedz! — powtórzyła na pół tęskna, a na pół gniewna, nie wiedząc sama, co ma mu kazać powiedzieć — powiedz panu Stanisławowi, że ja... niespokojna o dziadka!... że... ja... chcę... żeby tu zaraz przyszedł! — dodała gwałtownie.

Dziewczynka uśmiechnięta poleciała, i za pół godziny zadyszana wróciła z wiadomością, że przed pół godziną wyjechał pan Stanisław, nikomu nic nie powiedziawszy...

— Mnie nie pożegnał mówiła sama do siebie.

— Gniewam się!... — dodała zadąsana.

Biedna Konstancya!... chciała się gniewać, — lecz mogła tylko płakać...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ ÓSMY.

— Nie pozwolisz mi pani mówić dalej? — pytał lord Brandon smutnie.

— Nie ma to żadnego celu, — odrzekła Janina. — Nie mogę dać panu innej odpowiedzi, bo nie czuję dla pana tej miłości, jakiej sobie życzysz!

— I to już wszystko, co masz mi do powiedzenia po tylu latach? Miałem nadzieję, że z czasem pozyskam twoje serce, bo wówczas, kiedy ci po raz pierwszy mówiłem, że cię kocham, byłaś za młodą jeszcze, aby własne zrozumieć uczucia. Wówczas miałem przynajmniej tę pociechę, że nie kochałaś innego, czy i dziś jest tak samo?

Piękne oczy dziewczęcia napełniły się łzami.

— Dziś jestem bardzo nieszczęśliwą, — szepnęła, — proszę, nie sprawiaj mi pan większych jeszcze przykrości!

Jerzy ujął jej rękę i ucałował gorąco.

— Broń Boże, — rzekł serdecznie, — kocham cię zanadto, abym cię miał niepotrzebnie męczyć. Ale miej zaufanie do mnie, i powiedz, co jest powodem twego cierpienia?

— Nie, bo to do mnie samej nie należy. Miej pan tylko cierpliwość, i nie mów mi nigdy o miłości.

— Jeżeli pani sobie tego nie życzysz..... O jedno wszakże proszę! Wiesz, że kocham cię szczerze i wiernie, i że póki żyję, nie oddam serca innej. Więc chociaż mnie teraz odpychasz, to ja jednak wrócę, i będę wracał dopóty, dopóki nie osięgnę mego celu.

— Mam nadzieję, że pan tego nie uczynisz.

— Tymczasem będę twoim najwierniejszym przyjacielem. Nie będę ci narzucał mojej miłości, ale proszę o zaufanie, i o wezwanie mnie, gdyby ci była pomoc moja potrzebną.

— Dobrze, dziękuję panu, — odrzekła Janina, wzruszona jego szlachetnością. — Kiedy pan wyjedziesz ztąd?

— Jutro muszę być w Londynie. Więc pamiętaj pani, że jestem twoim przyjacielem. Będę ci przysyłał książki i kwiaty, jak gdybyś pani była moją siostrą, i raz po raz przybędę, aby panią zobaczyć. Pozwolisz mi na to?

Janina uśmiechnęła się i pochyliła głowę na znak zgody. Jego dobroć i serdeczność prawdziwem dla niej była dobrodziejstwem.

— Ale to podział niesprawiedliwy — rzekła. — Pan dajesz wszystko, a nic za to nie odbierasz.

— Będzie to dla mnie wielkiem szczęściem. Dałbym za panią moje życie.

Ogólny smutek zapanował w zamku na wiadomość rychłego odjazdu lorda Brandona.

— Kiedy pan znowu przyjedziesz? — pytała Helenka. — Chciałabym, abyś na zawsze pozostał u nas.

— Wrócę niedługo, — odrzekł Jerzy, — podróż niedaleka, i jeżeli rodzice pani pozwolą, to będę tu częściej bywał.

Helenka badawczo spojrzała na niego.

— Zdaje mi się, — szepnęła, — że doznałeś pan przykrości z powodu Jani!

— Tak. Kocham ją z całego serca, lady Chesley. Chcesz się wstawić za mną u niej, gdy mnie tu nie będzie?

— Zapewne. Nie pojmuję, że Jania nie jest panu wzajemną. Przecież to tak łatwo pokochać pana.

Jerzy uśmiechnął się, otwartość młodziutkiej kobiety bawiła go niezmiernie.

— Pani jesteś aniołem dobroci, — rzekł serdecznie, — życzyłbym sobie, abyś zdołała udzielić kuzynce trochę twego dobrego mniemania o mnie.

— Spróbuję.

Helenka rzeczywiście nie rozumiała Janiny. Wszakże Jerzy był tak pięknym, bogatym i miłym młodzieńcem, i posiadał wszelkie warunki uszczęśliwienia żony.

Jedyny lord Chesley nie żałował wyjazdu Jerzego. Nie mógł on zwalczyć swej zazdrości względem człowieka, który był wolnym i starał się o serce, należące do niego, a utracone na zawsze.

Po wyjeździe lorda Brandona, udała się Helenka do pokoju kuzynki, i zastała ją czytającą na pozór z wielkiem zajęciem.

— Janiu, — rzekła, chciałabym cię o coś zapytać, ale obawiam się, że będę troche niedyskretną.

— Nie możesz nią być, — odpowiedziała Janina łagodnie. Kochała ona serdecznie, kuzynkę, pomimo, że ona właśnie zabrała jej bezwiednie całe szczęście.

— Więc słuchaj. Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie kochasz lorda Brandona.

— Myślę, że kochać lub niekochać kogoś, to niezależy od naszej woli. Może znam go już zbyt długo jako dobrego przyjaciela — miłość zaś ma się pojawiać szybko i ogarnąć od razu całą istotę człowieka.

— To prawda. Ja także nie mogłabym powiedzieć, kiedy pokochałam Artura, wiem tylko, że nagle poznałam, że kocham go. Czemu się odwracasz, Janiu?

Nie przeczuwała, że już samo wspomnienie jej miłości męczarnią było dla Janiny. Ale młoda dziewczyna zapanowała nad sobą, i zmuszając się do uśmiechu, rzekła:

— Boję się twego kazania.

Helenka objęła jej szyję i uważnie spojrzała w oczy.

— Od czasu mej choroby dziwnie jesteś zmienioną, — zaczęła po chwili milczenia. — Może zmęczyłaś się zanadto pielęgnowaniem mnie? Nie słyszę już ani twego śpiewu, ani śmiechu, a oczy wyrażają smutek i przygnębienie. Co ci jest, Janiu?

— Nic, nic.

O, gdyby Helenka przeczuwała, jaką ofiarę Janina dla niej poniosła.

— Zdaje mi się, że jakieś troski męczą ciebie, teraz zaczynam rozumieć, że życie ma swoje jasne i ciemne strony. Myślisz może, że nie zrozumiałabym twoich kłopotów, ale kocham cię bardzo, i chciałabym ci dopomódz.

— Znam twoje złote serce, — odrzekła Janina, — ale nie możesz nic dla mnie uczynić, bo mi nic nie jest.

— Ach, nie wierzę, ci. Gdybyś została żoną lorda Brendona, i gdybyś była tak szczęśliwą, jak ja.

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwą, — szepnęła Janina. — Ale ja takiego szczęścia nie znajdę nigdy, bo nigdy za mąż nie pójdę.

— Co ty mówisz! — zawołała Helenka zdumiona. — Więc ja jednak mam słuszność. Masz jakąś ciężką troskę i nie chcesz mi jej powierzyć.

— Tak — ale ponieważ wszystko stało się z mojej winy, przeto sama muszę za to pokutować. Mówię ci to dlatego, abyś szanowała moją tajemnicę i nie nakłaniała mnie do zostania żoną Jerzego. Dla mnie nie ma szczęścia! Alеż czemu płaczesz, kochanie?

— Bo mi cię tak żal Janiu!

— No, no, uspokój się, tak źle znowu nie jest, i gdy widzę ciebie zdrową i promienną, to jestem bardzo zadowoloną. Wystarcza mi już ta myśl, że jesteś szczęśliwą!

O, ja..... Nie ma pewnie kobiety szczęśliwszej na świecie! Ach, Janiu, życie nabrało dla mnie wartości dopiero od chwili, w której Artur został moim mężem! Jak ja go kocham! On jest światłością mego życia, bez niego wszędzie mi pusto i ciemno!

Janina zadrżała. Tak, życie Helenki będzie znowu jasnem, dla niej zaś zostaje cień i smutek. I zazdrościła tej młodej istocie jej szczęścia, ale z ową szlachetną rezygnacyą, na jaką się tylko wzniosłe dusze po ciężkich walkach zdobyć mogą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Z początkiem października, gdy powietrze zaczęło się zmieniać, przybył znowu doktor z Londynu, aby się przekonać o siłach i zdrowiu Helenki.

— Młoda para może się teraz bezpiecznie udać w podróż poślubną, — rzekł stanowczo, — i zapewniam, że lady Chesley wróci na wiosnę świeża i zdrowa, jak rybka w wodzie.

I sądząc, że sprawi tem Arturowi wielką przyjemność, rzekł mu przy obiedzie, że zapisał dziś żonie jego receptę, z której będzie zapewne wielce zadowolonym.

Po odjeździe lekarza, kazała lady Marstone zawołać zięcia do swego pokoju. Pomimo, że rozłączenie się z Helenką niezmierną jej sprawiało przykrość, to uznawała przecież, że czy

prędzej, czy później, nastąpić to musi i owa podróż do Włoch tworzyła właściwe do tego przejście. Było jej tylko nieprzyjemnie, że sama miała to zaproponować — podług jej zdania, powinien był Artur pierwszy wspomnieć o podróży i wyrazić życzenie, zabrania żony wyłącznie dla siebie. Ale on nigdy o tem nie mówił. Był wprawdzie zawsze uprzejmym, uważającym, był zawsze gotowym na usługi Helenki, nigdy jednak nie układał żadnych planów na przyszłość, i nie postępował tak, jak postępują zwykle zakochani. Lady Marston nie myślała dawniej, aby Helenka mogła kogoś tak namiętnie pokochać, ale nie przypuszczała ani na chwilę, aby miłość ta nie polegała na wzajemności. Artur był i dla niej uprzedzająco grzecznym synem, więc dlaczegoż lękała się teraz rozmowy z nim? I chociaż najmniejszego nie miała do tego powodu, to w duszy przyznawała sobie, że chwila ta bardzo jej będzie przykrą, i z biciem serca spojrzała na wchodzącego zięcia.

— Mówiono mi, — rzekł Artur, składając jej głęboki ukłon, — że życzysz sobie widzieć mnie.

— Tak, — odpowiedziała nieśmiało, — mam dobrą dla ciebie nowinę. Doktor mówił, że Helenka musi spędzić zimę w ciepłym klimacie, i... i... proponuję, abyście połączyli z tem waszą podróż poślubną. Jak sądzisz o tem?

Artur milczał przez chwilę.

— Mam jej powiedzieć, — pomyślał, — że nie kocham jej córki, że myśl o podróży z nią jest mi okropną?

Ale potem przypomniał sobie, że wszystko to daremne, i że nic w świecie nie zdoła go uwolnić z tych nienawistnych mu pętów. Więc po co martwić ową dobrą, kochającą matkę, której wiadomość ta tak straszną sprawiłaby boleść. Lady Marstone patrzała na niego zmieszana, niespokojna, jak gdyby się lękała jego odpowiedzi.

— Uczynię wszystko chętnie, — odrzekł cicho, — co dla dobra Helenki jest potrzebne. Dokąd mamy jechać?

— Zdaje nam się, że najlepiej do południowej Francyi! Wiem, — dodała ze łzami w oczach, — że możemy ci bezpiecznie powierzyć nasze dziecko, i jesteśmy ci za to niezmiernie wdzięczni, Arturze! Obawiałam się..... nie wiem sama, czego..... ale słowa twoje zdjęły mi ciężar z serca..... Jesteś ty szczęśliwym, mój synu?

Lord Chesley pochylił się, i ucałował rękę teściowej. Smutny uśmiech przesunął się po jego ustach, ale ona nie zauważyła tego, zajęta jedynie myślą o córce.

— Im prędzej Helenka ztąd wyjedzie, tem lepiej będzie dla niej, — zaczęła znowu. — Przygotowania do podróży nie potrwają długo, wyznaczmy więc przyszły wtorek, zgoda?

— Owszem, jeżeli mamie i Helence dzień ten wydaje się stósownym.

Słowa jego i ton, jakim je mówił były uprzejme, a jednak z nich wiał chłód jakiś, i lady Marstone zauważyła to. Czyżby Artur wcale się nie cieszył? Dlaczego nie objawia żadnej radości? O ileż byłaby spokojniejszą, gdyby był coś więcej jeszcze powiedział!

— Jechałabym najchętniej z wami, — rzekła z uśmiechem, — ale wiem, że młode małżeństwo nie lubi towarzystwa. Poznacie się lepiej.....

— Tak jest, — przerwał krótko.

— Zostanę więc w domu. A ty będziesz dobrym dla niej, nieprawdaż, Arturze? Helenka jest od najmłodszych lat otoczoną miłością — rozpieściliśmy ją trochę, musisz zatem być dla niej wyrozumiałym i łagodnym. Jedno szorstkie słowo zraniłoby ją boleśnie, bo ona kocha cię tak, jak nikogo na świecie!

— Nie usłyszy go nigdy, wierzaj mi mamo, — odrzekł Artur wzruszony. — Możesz być zupełnie spokojną — Helenka wróci do was zdrową i wesołą. A jeżeli serdeczność i troskliwość moja zdołają uszczęśliwić ją, to przyrzekam ci, że na tem zbywać jej nie będzie.

Lady Marstone usiłowała okazać się zadowoloną, ale w sercu życzyła sobie, aby Artur był mówił o swej miłości dla Helenki.

Po tej rozmowie poszła natychmiast do Janiny, która w zajęciach domowych zawsze jej była pomocną.

— Janiu, — rzekła wesoło, — Artur i Helenka wyjeżdżają we wtorek, musimy się spieszyć, aby wszystko na czas było gotowe.

Młoda dziewczyna doznała zawrotu głowy.

— Dokąd — jadą? — szepnęła stłumionym głosem.

— Do południowej Francyi, doktor nie życzy sobie, aby Helenka tutaj spędziła zimę. Bardzo mi ciężko rozstać się z Helenką, ale mam ciebie, Janiu, a ty mi jesteś także prawdziwą córką. Czy myślisz, że Artur bardzo kocha Helenkę?

— Któżby jej nie kochał, — brzmiała wymijająca odpowiedź.

Lady Marstone uspokoiła się zupełnie, naradzała się długo z Janiną o przygotowaniach do podróży, i poszła w końcu do biblioteki, aby napisać kilka listów do modniarek i krawczek do Londynu.

Po odejściu ciotki ogarnęła Janinę straszna rozpacz. Teraz więc zbliżyła się najcięższa godzina, w której ten, którego tak gorąco ukochała, opuszczał ją w towarzystwie narzuconej mu żony. Nieszczęśliwa dziewczyna gorżkiemi płakała łzami, a w sercu jej na nowo rozpoczęła się okrutna, krwawa walka.

Przysposobienia do podróży odbywały się tymczasem na wielką skalę, lord Chesley zaś był istotnie zdumionym, z jaką troskliwością obmyślili rodzice Helenki wszystko, co do wygody małżonków było potrzebnem. Jedyną jego myślą obecnie było to, że musi się ostatecznie wyrzec swej miłości dla Janiny, że odtąd wspomnienie jej nie może w życiu jego żadnej odgrywać roli, i że nie pozostaje mu nic innego, jak obowiązek względem żony. Dzień przed wyjazdem, gdy pogrążony w myślach, przechadzał się na terasie, ujrzał nagle tuż przed sobą błękitną sukienkę Helenki, która także zamyślona, siedziała na ławce, wpatrując się w ciemne drzewa parku. Po raz pierwszy miała twarzyczka jej wyraz poważny, co niezmiernie Artura zdziwiło.

— O czem myślisz, Helenko? — zapytał łagodnie.

Jak za dotknięciem różczki czarodziejskiej zmieniła się twarz młodej kobiety, a oczy jej zajaśniały wielką, prawdziwą radością.

— To ty, Arturze! — zawołała. — Sądziłam, że wyszedłeś z papą?

Helenka dziwnie uroczą była istotą, i każdy, kto ją znał, nie mógł się rzeczywiście oprzeć urokowi, jaki roztaczała. Chesley ulegał mu także, i chociaż nie kochał jej, i dobrowolnie nigdy by jej nie był zaślubił, to jednak lubił ją, i promienna jej wesołość wielkiem mu była dobrodziejstwem.

— Usiądź obok mnie, Arturze, — prosiła, — cieszę się żeś przyszedł! Myślałam poprzednio o tylu rzeczach!

— Niezwykła to praca, nieprawda? — zawołał śmiejąc się.

— Tak, bo dotychczas inni zawsze myśleli za mnie, teraz jednak muszę się sama tego nauczyć.

— Czemu?

— Zaraz ci powiem. Rozważałam nad naszem życiem. Dotąd byłam rozpieszczonem dzieckiem — od jutra zaś rozpoczynam nowe życie. Muszę być teraz twoją towarzyszką. Z Janiną rozmawiasz godzinami o malarstwie, podróżach, naukach i sztukach pięknych, będę się więc wszystkiego pilnie uczyć, abyś i ze mną rozmawiał o tem chętnie. Czemu się śmiejesz, Arturze?

— Bo to brzmi tak, jak gdyby kto chciał motylka nauczyć jakich sztuk.

— Obrażasz mnie, — odrzekła z powagą. — Przyznaję, że za długo traktowano mnie jak dziecko, ale wierzaj mi, że mam dosyć silnej woli, aby się teraz dalej kształcić. Przyrzeknij mi tylko, Arturze, że będziesz mnie zawsze kochał, tak, jak teraz, nawet wtenczas, gdy stanę się poważną i rozsądną.

Lord Chesley mógł spokojnie „tak“ odpowiedzieć, bo przecież nie kochał jej wcale.

— Zazdrościłam zawsze Jani, — mówiła Helenka dalej, — ona taka wykształcona. Chciałabym jej być podobną.

— Ja życzyłbym sobie tego, — szepnął Artur mimowoli, tak smutnie, że Helenka zdumiona spojrzała na niego.

— Będę się starała o to — rzekła łagodnie. — Chciałabym być taką, abyś mnie zawsze kochał.

Ach, czemu nie mógł odpłacić wzajemnością tej głębokiej, wzruszającej miłości, czemu oddał serce innej, której nigdy kochać nie przestanie?

— Od czasu mego wyzdrowienia stałam się inną, — zaczęła znowu Helenka. — Kto jak ja, stał z całą świadomością rzeczy nad grobem, temu potem wszystko inaczej się przedstawia. Teraz dopiero zaczynam żyć — nie jestem już dzieckiem. Chcesz mi pomódz Arturze, do wykonania moich zamiarów?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

Skreślił Henryk Mierzeński.

(Ciąg dalszy.)

W parę miesięcy później straciła młodszą córkę; świeża a tak straszna szlachetnemu jej sercu strata przepełniła jej boleść, i gdyby nie poczciwy pleban, który po chrześciańsku zająwszy się jej losem, przyprowadził opuszczone gospodarstwo do lepszego stanu, zostałaby biedna wdowa wraz z jedynem dzieckiem, dziesięcioletniem dziewczęciem, które u swego boku miała, w ostatniej nędzy... Później ocknąwszy się z żalu i boleści po tak drogich stratach, oddała się z całem sercem wychowaniu i staraniom nad przyszłością jedynego dziecięcia, które przy sobie miała. Zaczęła się pomału zajmować gospodarstwem, w czem jej już nie pomału pomagało małe dziewczątko, istny anioł pocieszyciel boleści matczynych. Tak to z czasem przyzwyczaiła się biedna pani Wojciechowa do swego sierocego stanu, a gdy w smutnej chwili zabłysła łezka w oku starej matki, lube dziewczątko wnet ją rozpędziło jedn m słówkiem pociechy. I nieraz nawet marzenia o szczęśliwej przyszłości przesnuły się przed oczyma spłakanej wdowy, w szczęśliwych chwilach układała na przyszłość, jak to jej ukochany Piotruś powróciwszy z wojaczki, osiądzie w starym dworku zmarłego ojca, i w późne lata stanie się podporą starości matczynej...

W plebanii także nie wiele zmian zaszło. Ksiądz Eustachy znacznie się postarzał i zgarbił ku ziemi, ale w siłach nigdy nie ustawał; na mszą świętą wstawał codziennie o 4-tej rano, w niedzielę zaś i święta cały poranek aż do południa przepędzał w kościele. W kazaniach sprawę narodową uważał pierwszą i bywało nieraz w niedzielę lub święto jak zagrzmi poczciwy staruszek donośnym swoim głosem przeciw zwątpiałym i bezdusznym, to i największego niedowiarka powróci sprawie narodwej. Co tygodnia zaś rano w sobotę odprawiał solenne nabożeństwo za duszę starego Wojciecha, a najbogatsi z mieszczan służyli mu do mszy świętej...

Pan Kalasanty Kukawka, organista i pierwszy muzyk na Pyzdry, posowiał coś od czasu śmierci pana Wojciecha. Rzadko gdzie wychodził, a najwięcej, gdy czasem odwiedził dworek pani Wojciechowej, i tam przy miodku przypomniał sobie dawne, lepsze czasy. A gdy nadeszła sobota a z nią i nabożeństwo za duszę pana Wojciecha — jak zahuczał „Requiem aeternam“, na organach, to aż kościołek drżał, a panu Kalasantemu rozjaśniało się trochę oblicze.

Po nabożeństwie przywykł zaglądać pomaleńku do szyneczku, aby, jak mówił: — Zalać serce i żołądek!...

Tam to, przy gęsiorze miodku wpadał w lepszy humor, klął Moskali na czem świat stoi, i pomrukiwając, że się kiedyś zemści śmierci kochanego swojego Wojciecha, zasypiał... Jeden bakałarz, szanowny pan Tymofty Wukała, nie zmienił się ani na włosek. Narzekał na swoich pupilów, na księdza, organistę, słowem cały świat nie postępował torem jego wyobrażeń. Brak życia w Pyzdrach dokuczał mu, a on tak pragnął różnych a różnych nowinek, tak je chciwie od każdego wyciągał i połykał, jak tłuste, przysmażone pierogi, których więcej jak pół kopy co wieczorku u pani Maciejowej połknąwszy, ciągle za temi łaknął, i marzył...

Pani Maciejowa, usłyszawszy o zgonie nieporównanego swego mężulka, pana cechmistrza kowalskiego, nie miała tyle sił, aby się na głos nie rozpłakać. Zaczęła coraz bardziej tyć i tyć — czy z żalu za małżonkiem nie wiem — a gdy razu pewnego pan Kalasanty zrobił jej maleńką uwagę, że powinna zasięgnąć radę doświadczonych ludzi, aby zapobiedz bardzo łatwo rozwinąć się mogącej z tak obfitej tuszy apoplexji, pani Kurdula usłuchała, jak widać skłonności własnej i w miesiąc potem stanęła u ołtarza obok rumianego pisarza z urzędu. — Pan bakałarz narzeka ciągle, że tak znakomite imię nieboszczyka Macieja zgasło bezpotomnie, gdy jakby na złość biednego pana Wukały, organista uśmiecha się tajemniczo, pomrukiwając już coś o nieporównanym miodku, na niedalekich chrzcinach przyszłego potomka pisarskiego.

VIII.

Konfederaci w Gnieźnie.

Było to jakoś w parę miesięcy po wyżej opisanych wypadkach.

W starej stolicy Lecha wielki gwar i ruch i dzwony wieżyc kościelnych jęczą rozgłośnie, wydobywając z siebie przeróżne dźwięki, złączone w jedną, nierozdzielną harmonię — a po starych, długich ulicach miasta czernieje się natłok mieszkańców, gromadzących się na przedmieściach wschodnich. Jak widać, na coś niezwykłego się tam zanosi, bo i liczne cechy duchowieństwa z chorągwiami wystąpiły, bo nawet i sam ksiądz biskup gnieźnieński , jakby do jakiej uroczystości przybrany, w kapiącej od złota landarze, powoli się posuwał.

Cały ten orszak wraz z masą ludu, tłoczącego się przez główniejsze ulice, przesuwał się poważnie i uroczyście ku wschodnim rogatkom, gdzie już także gromadki mieszkańców Gniezna czerniały. — Na twarzach całej zgromadzonej ludności malowało się jakieś nieokreślone uczucie radości, czy wzruszenia, ciekawości i oczekiwania — Wszystkich oczy zwrócone były z niecierpliwością tam ku wschodowi, ku lasom i niektórzy wstrzymywali w sobie dech, czy nie usłyszą raźnego tententu i parskania koni, inni przykładali dłoń do ócz od skwarem dopiekającego słońca, czy nie ujrzą co het tam pod lasem. Duchowieństwo tylko cierpliwie stało w milczeniu, i z wniesionemi do nieba oczyma, wśród dźwięku jęczących dzwonów i furkotania chorągwi słało hymn pochwalny ku Bogu...

Wreszcie wysoki tuman kurzu okazał się pod lasem i głuche echo tententu końskich kopyt zawiało z wiatrem ku czerniejącym się masom zgromadzonego ludu...

— Jadą już! — szeptały tłumy.

— To dopiero pierwszy hufiec jazdy Malczewskiego! ozwały się liczne głosy — a co to jeszcze więcej wysunie się tam z pod lasu!...

— A i młody Szczygieł ma być teraz także z swoim oddziałem przy Malczewskim! szepnął ten i ów obznajomiony bliżej jak widać z liczbą zkonfederowanych oddziałów...

I znowu uroczysta cisza zaległa tłumy zgromadzonych mieszkańców, bo właśnie drugi hufiec wysunął się z pod lasu i raźnym marszem kłusował wśród bałwanów kurzu za poprzedzającym... Wreszcie zbliżyły się pierwsze szeregi konfederatów ku rogatkom.

Pierwszy hufiec składała jazda przyboczna Malczewskiego. Ubiór tejże był zupełnie różnym od ubiorów innych oddziałów, i tak: kurtki paliowe, żupany i rajtuzy zielone, a co większa, nawet i uzbrojenie czyniły jazdę Malczewskiego zupełnie odrębną od innych. Między pierwszym a drugim oddziałem konnicy, jechał na dzielnym, jabłkowatym rumaku Malczewski, otoczony asystującymi mu wyższymi i niższymi oficerami. Cały prawie sztab ubrany był w gali; mundury i czapki wyszywane złotem i srebrem, szarfy naokoło tychże przepasane czerwonym jedwabiem i srebrem w siatki dzierżgane, a konie pięknej tatarskiej rasy pokrywane były drogiemi, od złota kapiącemi czaprakami. Nareszcie za sztabem i drugim konnym oddziałem Malczewskiego, raźnym marszem postępował niewielki oddział znanego pięknym czytelniczkom Szczygła; nieodznaczający się przepychem w ubraniu zalecał się jednak dobrem, chociaż prostem uzbrojeniem i wzorowem porządkiem w szeregach. Na czele tego oddziału kroczył lekkim kłusem nasz Piotruś.

Ale nie koniec tu jeszcze całego pochodu; pan rzeźnik Morawski, konfederat co się zowie, wiedzie swój dzielny oddział, pokręca wąsa, uśmiechając się na widok radości i rozrzewnienia tylu tysięcy zgromadzonego ludu, potrąca z brzękiem karabelą... Siwa pod nim szkapa, zamiast siodła, gruby, słomą wypchany worek, nie widzisz na nim ni bogatych strojów ni złota, ni innych oficerskich oznak, ale stań no wśród bitwy i spojrz na tego prostego mieszczanina, rzeźnika, jak ci zafurczy referendarza nad moskiewskim łbem i zaśpiewa swoje ulubione:

Sam tu zuchy, sam tu smyki,
Proszę, proszę na zraziki!...

Bogu duszę oddaj!... i chresty tu już nie pomogą! Blisko setek dziarskich towarzyszy postępował za swoim ulubionym wodzem. Cały ten pochód, wśród radośnych okrzyków

ludu, bicia dzwonów i śpiewów kapłańskich, przesuwał się powoli przez ulice Gniezna ku rynkowi.

Pod ratuszem, gdzie już burmistrz miasta na przyjęcie naczelnego wodza z chlebem i z solą czekał, stanął Malczewski, i po krótkiej naradzie z swoim sztabem, począł donośnym głosem wydawać rozkazy.

Wkrótce potem wszystkie oddziały zostały po całem mieście rozlokowane; Malczewski zaś w ratuszu u burmistrza miłego używał wywczasu...

Wysoko, na wieży ratuszowej zatknięta chorągiew czerwona i biała...

Na krańcu jednego z przedmieść Gnieźnieńskich stoi mała pochylona kamieniczka. Po staroświeckim stylu jej budowy poznasz, że już wiele, wiele lat przetrwała, i niejednemu człowiekowi była kolebką a później trumną...

Lata ją zgarbiły, zielonawy mech gęsto okrył zczerniałą od tylu deszczów i śniegów strzechę, a nawet i w szpary murowanych ścian się wcisnął, jak niszcząca podagra w ciało starca. Ale nie myśl, że ta przygarbiona staruszka uległa już prawom czasu i głęboko wklęsłszy w ziemię zamilkła dumając nad swem przeznaczeniem — ona żyje jeszcze, a chociaż co dnia zbliża się już coraz to bardziej ku grobowi, do ostatniej chwili jednak chce służyć młodemu pokoleniu swojego twórcy...

Dziwny kontrast z starą tą kamienicą tworzy niewielki młodziuchny ogródek, przypierający do bocznej jej, przekrzywionej ściany. Wszystko tam świeże, wonne, dobrane; zda się, że wzrosło, jakby na przedrzyznianie się starej biedaczce kamienicy, okazującej jedyne znaki li szerokim dymiącym kominem, który i tak już w ponurej zadumie zdawał się oczekiwać, rychło mu jesienny wicher nie zachuczy *„Requiem aeternam“ !...*

Lecz zakończmy te nasze opisywania, które prędzej znudzą aniżeli zajmą czytelnika, i wejdźmy przez nie najwygodniejsze wschodki do sieni tejże samej prawie własności, a ztąd uchyliwszy nie wielkie drzwiczki, będziemy mogli wygodnie się przypatrywać co się w najobszerniejszym pokoiku pierwszego piętra dzieje. Pominąwszy opisanie umeblowania owej komnatki, co nietylko mnie, ale o ile mi się zdaje i czytelników moich by znudziło, wejdę od razu *in medias res.* Jesteśmy więc o ile z tego co mnie otacza sądzić mogę w mieszczańskiej izbie. Przy stole, okrytym świeżym, białym obrusym, i zastawionym przyborami do wieczerzy siedzą trzy osoby. — Od strony słabym ogniem stojącego kominka, widzimy siedzącego na obszernem krześle, podeszłego mężczyznę, okrążonego kłębami niebieskawego dymu, który co chwila nowemi warstwami, wyciąganemi z długiej tureckiej fajki, podsyca. — Opodal niego siedzi słuszny, pięknego otwartego oblicza młodzieniec. Ubrany podług stroju ówczesnych konfederatów z pod dowództwa Malczewskiego, odróżniał się od zwykłego towarzysza niektóremi oznakami, które znamienowały wyższą rangę.

Trzecią osobą, którąśmy ujrzeli przy stoliku, jest młodziuchne dziewczę, z dziwnem jakiemś zajęciem i zachwyceniem przysłuchujące się rozmowie, którą żywo między sobą prowadzą palący fajkę mężczyzna i wojskowy młodzian.

Niechcąc dłużej zatrzymać czytelnika w niepewnej ciekawości poznamy go z tem towarzystwem, które nam do końca naszego obrazku towarzyszyć będzie.

Otóż ów podeszły mężczyzna z fajką w ustach, jest pan Kazimierz Ostoja, emissaryusz Puławskiego, któregośmy w Pyzdrach, na walnej naradzie mieszczan poznali. W dziewczęciu, przysłuchującem się z uwagą toczącej się rozmowie obu mężczyzn, poznamy córkę pana Kazimierza, piękną Leosię. Trzecią nareszcie osobą, siedzącą przy stole, owym młodzianym — jest bardzo dobrze czytelnikowi znany — Piotruś.

Nim jednak zaczniemy przysłuchiwać się rozmowie, którą znane nam już osoby prowadzą, cofnijmy się o krok w przeszłość, aby w kilku rysach wyświecić ostatnie wypadki i zdarzenia, które naszego Piotrusia złączyły z starym przyjacielem jego ojca, i tak najpierw poświęćmy kilka słów staremu Ostoi, od czasu, jakeśmy go opuścili, aż do obecnej chwili, w której widzimy go w starej kamieniczce na przedmieściu Gnieznieńskiem.

Pan Kazimierz od wielu już lat był posiadaczem starej kamienicy w Gnieznie, którą odebrał był w spadku po swoim ojcu. Za młodu ożeniwszy się, nie długo się cieszył miłem szczęściem domowem! w rok po ślubie zmarła ukochana jego Basia, zostawiwszy mu najmilszą po sobie pamiątkę, maleńką sierotkę Leosię. Od tego czasu jedynie się on poświęcił ulubionemu swemu dziecięciu, pielęgnował je i pieścił, jak i najtroskliwsza matka nie potrafi, aż wychuchał skromny pączek w kwiat przecudnej woni i krasy.

Ostatnie wypadki wygnały go daleko na kresy Polski; tam to należał do spisku konfederacyi barskiej, i pod lichą podartą, siermięgą żebraczą ukrywając swe plany, przebiegł wszerz i wdłuż całą Polskę jako emisaryusz z odezwami konfederacyi barskiej. Tak to poznaliśmy go w Pyzdrach u starego swego przyjaciela, Wojciecha Szczygła, z którym niegdyś za młodu nie jeden rok przyjacielsko przeżył. Służyli oni razem pod jedną chorągwią — później losy rozłączyły ich z sobą a w Pyzdrach spotkali się znowu, ażeby się już na zawsze rozłączyć! Jak czytelnikom wiadomo, pan Kazimierz udał się potem dalej, ażeby budzić uśpiony naród z letargu, a stary Szczygieł w pierwszej bitwie pod Lądkiem padł, ugodzony kulą w piersi... Nareszcie skończyła się missya pana Kazimierza; wrócił do Gniezna, do starej kamieniczki na przedmieściu, gdzie zostawił opiece starej klucznicy jedyne swe dziecko.

O Leosi nie wiele mamy do powiedzenia. Było to jeszcze prawie dziecko, istny aniołek o ciemnych, mieniących się oczkach. Sierota, bez uścisków i opieki macierzyńskiej wzrosła u ramienia ojca, który przytłumiwszy w niej wrodzone słabostki niewieście, wykształcił ją na dziewczę silnego, bardziej męzkiego niżli kobiecego charakteru, który się już w niej teraz, nietylko moralnie, ale i czynnie okazywał. Poczucie narodowe zajmowało w jej sercu pierwsze miejsce; dziecięciem jeszcze będąc, umiała całą prawie historyę ojczystą na pamięć, i całą galeryę królów Polskich, znajdującą się w alkierzyku ojca, znała doskonale.

Piotruś po znanej owej potyczce z Moskalami, w której jawnie okazał swą zdolność, otrzymawszy rangę rotmistrza, został przywołany pod rozkazy Malczewskiego i odtąd z swoim oddziałem zostawał u jego boku. Niezrównana odwaga i dzielność zjednały mu miłość i poważanie towarzyszy, a choć to był z rodu syn prostego mieszczanina, i największy pan nie wahał się mu podać przyjaźną rękę i uszanować jego zasługi.

Po niejakim czasie Malczewski złączywszy swój oddział z siłami Morawskiego udał się do Gniezna. — Tam to nasz Piotruś dziwnym trafem otrzymawszy kwaterę w kamieniczce pana Kazimierza na przedmieściu, zeszedł się znów ze starym przyjacielem swego ojca, gdzie jakby w rodzinnym domu przyjęty zapomniał o trudach i niewygodach wojaczki.

Tak to w starej kamieniczce na przedmieściu wesoło mijał wieczór; Piotruś opowiadał różne a różne przygody, jakich doznał w ośmiomiesięcznej blisko wojaczce, stary pan Kazimierz przypominał sobie dawniejsze lata, jak to on niegdyś za Szwedami uganiał, młodziuchna Leosia słuchała opowiadania młodego konfederata, a radośne uwielbienie, to na przemian niebiański jakiś zachwyt, malowały się w jej prześlicznych, ciemnych oczkach...

Podano wieczerzę; po wieczerzy pożegnał Piotruś pana Kazimierza i Leosię, bo musiał jeszcze przeglądnąć, czy wszyscy jego żołnierze po kwaterach w porządku porozlokowani.

Gdy późno w nocy powrócił, zastał w osobnym, czyściutkim pokoiku na dole wygodne łóżko, czystą pościelą zasłane, a przy łóżku na małym stoliczku, świeży bukiet ogrodowych kwiatów. Czyje paluszki ten bukiecik uwiły? niechaj się piękne czytelniczki same domyślą, bo autor tej powiastki właśnie w tej chwili łamie sobie głowę nad tem, dla czego Piotruś do późnej nocy nie mógł zmrużyć oka, gdy równocześnie i młodziuchna Leosia nie zaraz usnęła?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

Rzadko człowiek pojmuje, że zawsze lepiej uczynić mało, skromnie, coś przecież, niż nic; że kto nie może dźwignąć góry i rzucić ją jako posadę budowy, nad którą pracuje ludzkość, — ten niech przyniesie kamyczek drobny i szeląg wdowi. *J. I. Kraszewski.*

*

Lubię mowę ojczystą, — dziwna to jest cnota!
Której umysł poczciwy nie łatwo zrozumie;
Nigdy orzeł jaskółczej pieśni nie szczebiota,
Ani palma podrzeźniać szum dąbrowy umie. *J. N. J.*

Jan Kasprowicz.

Szkic literacki.

Skreśliła

Róża Erzepkowa.

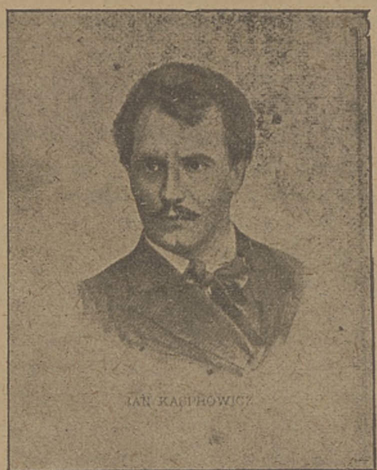
Kiedy Kasprowicz pierwszy tomik poezyi swoich przygotował do druku, posłał go Jeżowi z prośbą o przejrzenie i o przedmowę — prosił go — jak Jeż pisze — na ojca chrzestnego swych utworów poetycznych. Jeż dziecię to chrzestne wyprawił w świat z życzeniem „Szczęść Boże", a w przedmowie dowiódł, że autora ocenić potrafił od razu słusznie i sprawiedliwie.

„W obecnej dobie — mówi Jeż — słyszeć się daje głośno i apodyktycznie wypowiadane twierdzenie, że epoka poetyczna dla Polski przeminęła bezpowrotnie i poezya nasza na laurach romantycznych snem wiekuistym spoczęła." Cóż tak zraża ludzi od poezyi obecnej, pyta Jeż, oto „brak oryginalności, brak fizyognomii odrębnej, która uwagę zatrzymuje, zastanawia i uderza przez to, że ją cechują znamiona twórczości. Jest to dziś tylko naśladowanie wielkich wzorów, wobec czego niejeden powiada sobie: na co mi to — wolę Mickiewicza, Słowackiego".

Co do tego sądu Jeża, to uprzytomnić sobie trzeba, że przedmowa ta pisana była w r. 1888, a więc 12 lat temu. Zwracając się następnie do Kasprowicza, mówi Jeż: „Owóż, zdaje mi się, kochany Panie, że wy wśród poetów naszych spółczesnych zjawiacie się z fizyognomią — z indywidualizmem rzeźko zaznaczonym i własnym".

W treści poezyi Kasprowicza odczuł Jeż oddźwięk tych tęsknot, bólów i skarg, jakie stanowią istotę życia ludów w niewoli. W formie słyszy Jeż u Kasprowicza w przeciwieństwie do Bohdana Zaleskiego, który „z mowy polskiej uczynił jakąś promiennością przeniknioną pyłkowość", akcenty surowe i twarde i pyta, zkąd to pochodzi — czy intencyą autora było wykazać, że mowa nasza i do takich tonów się nadaje — czyli też ztąd, że „sama źródła natchnień waszych natura taką, nie inną formę autorowi narzuciła? Jest to język tak twardy, forma tak trudna, jak twardem jest życie nad Wartą".

Tomik ten, — to dziecię pierworodne poety — zasługuje na to, aby mu się szczęściło, mówi Jeż, „wyszło bowiem z naszej chaty, jest płodem naszych cierpień, bólów i smutków spólnych i wypowiedzianych tak, jak się wypowiada skarga, domagająca się nie zlitowania, ale sprawiedliwości". „Ja się o losy jego nie trwożę, przebije się ono, chociażby



Jan Kasprowicz.

je na wstępie miny jakie spotkać miały z powodu, że nie w haftowanym i prasowanym przedstawia się stroju; przebije się — rodzic zaopatrzył je w siłę, która mu na przebój starczy."

Zdanie to ostatnie zawiera rzeczywiście trafny sąd i o owym tomiku i o Kasprowiczu wogóle jako poecie. *Siła* to rys znamienny jego wszystkich utworów. Jest w nim rzeczywiście jakaś świeżość i rzeźwość, wyróżniająca go od innych, jest w nim siła, z jaką tylko prawdziwy talent się wypowiada. Co do uwagi Jeża o formie, o „stroju nie haftowanym" — to uwaga ta odnosi się tylko do owego tomiku — z późniejszych ten sam strój mają jeszcze opowiadania wierszem „Z chłopskiego zagonu." Dziś Kasprowicz to pierwszorzędny mistrz formy, dość przeczytać jego poemat „Z gór."

Ten strój niehaftowany, o którym Jeż wspomina, spotykamy u Kasprowicza tylko w utworach opiewających lud — tak, że rzeczywiście gotowiśmy przyjąć za Jeżem, że to „natura źródła natchnien poety taką mu formę narzuciła."

Pierwszy etap na drodze rozwoju poetyckiej twórczości Kasprowicza, to utwory o treści zaczerpniętej z życia ludu. Ludu nie maluje Kasprowicz tak jak to dawniejsi poeci czynili, jedynie jako ofiarę możnych — nie ubiera go w rysy jedynie szlachetne i sympatyczne — nie — lud w poezyi Kasprowicza, to lud nieidealizowany, to lud z całą jego szarą dolą — lub w codziennej szacie.

Na tle tej powszedniej, szarej doli poeta kreśli obrazki także powszednie — wypadki zwykłe, jakie tysiącami się zdarzają. Do głębi przejmują one jednak czytelnika tem właśnie, że takie zwyczajne, tak po prostu opowiedziane a tyle w nich niedoli, tyle bolu i tyle zła, na które prawie że nie ma rady. Nuta ta brzmi głównie w drugim tomie utworów Kasprowicza — ale, że jest ona zasadniczym tonem jego poezyi w pierwszej połowie jego poetyckiej drogi, wspominamy o niej już na tem miejscu.

A teraz przypatrzmy się owemu „dziecięciu pierworodnemu", któremu Jeż służył za ojca chrzestnego. Tomik ten, wydany we Lwowie 1889, nosi tytuł: „Poezye przez Jana Kasprowicza", a obejmuje: I Melodye wiosenne, II Melodye jesienne, III Z padołu walki, IV Sny i marzenia, V Do niej, VI Sonety, VII Z motywów biblijnych.

Tytuł pierwszego cyklu „Melodye wiosenne" jest charakterystycznym dla całego tomiku. Są to prawdziwe pieśni wiosenne, wołające do czynu — krzepiące ducha, który odrodzić się powinien wraz z odradzającą się w wiośnie naturą. Brzmi w nich wszędzie wiara w lepszą przyszłość, jakiś ton męzki i ożywczy w przeciwieństwie do innych młodych poetów, którzy w zaraniu życia już są zgorzkniali i we własne niedole i niemoce wpatrują się z lubością. I Kasprowicz pisze o sobie — i on potrąca często strunę smutku i boleści — ale zawsze w końcu zwycięża krzepkość młodzieńcza i z całego tomiku wieje otucha i ufność w lepsze jutro. Poeta wierzy, że

„...przecież jeszcze w popiele rozpaczy —
W sinym popiele nie zgasła na zawsze
Iskra młodości, ukryła się raczej —
Aż ją rozdmucha słoneczko łaskawsze.

Jest to trzecia melodya wiosenna — trzeci wiersz z pierwszego cyklu, poświęconego wiośnie. Wita ją poeta w tych słowach:

„O witajże nam wiosenko,
Matko wesela,

O witajże nam wiosenko
Gorąca!
Ty białą roztaczasz ręką
Kobierce z ziela,
Ty białą rozpalasz ręką
Blask słońca....."

Kończy ten cykl wiosenny krótki wierszyk:

„Życie o! życie
To droga nić,
Do której mistrza potrzeba,
Aby z niej prządkę
Złocistą wić
I na niej wznieść się do nieba!

Niebo o! niebo
To jasny dzień,
Gdzie słońce w wianku zórz gości:
To zbiorowisko
Wiosennych tchnień
Związanych węzłem miłości.

Miłość o! miłość —
To rajski kwiat,
Wyrosły w przeczystem sercu,
To złud anielskich
Uroczy świat,
To róża w świeżym kobiercu.

Ach niechaj wszyscy
W mistrzowską dłoń
Uchwycą złote przędziwo,
Z aniołami
Na niebios błoń
Wznoszą się żywo — a żywo!...

Jak w naturze tak i w sercu poety nie zawsze panuje wiosna. Zna i poeta szare dni jesienne — ale wierzby bez liści i trawy bez woni — czarne bezkłosne rozłogi

„I strop ten w blaski złocone ubogi"

nie wyrywają mu z duszy przeciwko naturze przekleństw ani złorzeczeń. On wie

„...że co ginie, nie ginie daremnie;
Że te promyki, co się dzisiaj stliły,
Jutro rozjaśnią i rozgrzeją ciemnie
Światłem i ciepłem młodocianej siły —
Że te odarte dziś z kwiatów mogiły
Jutro przybytkiem będą zmartwychwstania
I będą szatą weselną świeciły,
Wiem, i od zwątpień ta myśl mnie ochrania,
Że z ziarn, co dzisiaj padły, znów się źdźbło wyłania.

Ciąg dalszy nastąpi.

Nasze illustracye.

(Żółkiewski pod Cecorą.)

Do najsławniejszych polskich bohaterów należy Żółkiewski. Urodził się 1547 roku we wsi Turynce pod Żółkwią, w dzisiejszej Galicyi. Młody Stanisław uczył się bardzo pilnie. Umiał na pamięć obszerne ustępy z dzieł znakomitych pisarzy. Oprócz tego pałał chęcią sławy i ochotą do dzieł rycerskich. Wcześnie zaprawiał się do bojów. Stefan Batory cenił wielce odwagę i przymioty młodego wojownika. W bitwie pod Byczyną dowodząc Żółkiewski prawemu skrzydłu, przyczynił się dzielnie do zwycięztwa nad Maxymilianem. Później odznaczył się świetnie w Inflantach przeciw Szwedom. Pobił na głowę pod Rewlem oddział szwedzki Reynholda Arnepa. W rokoszu Zebrzydowskiego stanął po stronie królewskiej.

Roku 1610 brał udział Żółkiewski w wojnie moskiewskiej, jako wielki hetman koronny. Radził Zygmuntowi III, oblegającemu Smoleńsk, aby pospieszył do Moskwy, a gdy się podda stolica, zaprzestanie i Smoleńsk obrony. Nie usłuchał król Zygmunt zdrowej rady. Moskale, zgromadziwszy potężne siły, wynoszące 38,000 żołnierzy, dążyli do Smoleńska z odsieczą. Zaszedł im drogę Żółkiewski pod Kluszynem, a choć liczył tylko 8000 ludzi, pobił ich potężne wojsko i rozproszył. Potem ruszył ku Moskwie, która mu otworzyła bramy. Lud strwożony oddał w jego ręce cara Szujskiego i braci. Obrano Władysława, syna Zygmunta III, carem i złożono dłań na ręce Żółkiewskiego przysięgę wierności. Była to szczęśliwa i rzadko powtarzająca się chwila przewagi Polski nad W. Księstwem Moskiewskiem, z którego dzisiejsze cesarstwo rosyjskie powstało, jednakże upór Zygmunta III i niedbalstwo Polaków nie dozwoliły, aby Polska zawarła wieczystą zgodę z sąsiedzkim krajem. Żółkiewski udał się do Warszawy, aby załatwić sprawę wyboru Władysława. Wjeżdżał Żółkiewski do miasta na tryumfalnym wozie, a obok niego car Wasil Szujski z dwoma braćmi. Był to przejmujący widok. Potem przedstawił Żółkiewski królowi i sejmowemu kołu carów, ubolewając nad ich losem. Była to jedna z najpiękniejszych chwil w naszej przeszłości — dla czegoż nie umiano z niej korzystać?

Turcy i Tatarzy napadali Polskę. Wyruszył przeciw nim mężny Żółkiewski, choć już liczył 73 lata. Miał tylko 8000 wojska, a Turcy 100,000. Żółkiewski postanowił stoczyć walną bitwę, a gdyby nie pobił wroga, wtedy chciał się cofać pod osłoną taboru*). Nie zgodzili się na to niektórzy dowódzcy, którzy zamiast bronić się do ostatniego, opuścili z częścią rycerstwa hetmana i uciekli. Dopadli ich Turcy i pobili. Żółkiewski nie mógł już myśleć o boju. Zaczął się tedy cofać porządnie taborem. Byłby uszedł pogoni tureckiej, lecz pachołkowie obozowi wieczorem uczynili zamięszanie. Złupiwszy wozy, rozerwali tabor, aby uciekać. Wtedy Turcy i Tatarzy napadli na Polaków. Zaczęła się krwawa bitwa, w której mężny Żółkiewski poległ. Zwana jest ta bitwa pod Cecorą, choć w rzeczy samej zaszła na stepie. Głowę hetmana wykupiono później i złożono w Żółkwi w grobach przodków a nad pomnikiem wyryto napis: „Oby powstał mściciel z kości naszych!" I powstał mściciel, a był nim Jan Sobieski, który skruszył potęgę turecką.

J. Niemcewicz utworzył prześliczną dumę o Żółkiewskim, zaczynającą się od słów: „Za szumnym Dniestrem na cecorskiem błoniu," a słynny malarz polski Walery Eliasz, żyjący w Krakowie, wykonał piękny obraz, pogrom cecorski przedstawiający, którego reprodukcyą przedstawia nasza illustracya albumowa. Widzimy tam sędziwego hetmana z szablą w ręce, opierającego się na dwóch synach, a za nim unosi się chorągiew z białym orłem. Turcy napadają, a Polacy biją się do upadłego.

Żółkiewski odznaczył się także jako pisarz. Opisał treściwie swą wyprawę moskiewską. Listów jego, pisanych do żony z pola bitwy, nie można czytać bez rozrzewnienia.

Dodać wypada, że za poległych pod Cecorą w obronie wiary biją po dziś dzień w dzwon w Gnieźnie, a za poległych pod Warną odzywa się dzwon w Płocku nad Wisłą. Tak więc wspomnienia przeszłości dźwiękiem dzwonów do nas przemawiają, aby o nich nie zapomnieć.

Józef Chociszewski.

*) Tabor znaczy tyle co obóz, obwarowany wozami, pod których zasłoną można maszerować. Jest to wyraz pochodzący z języka czeskiego. Od Czechów nauczyli się Polacy walczyć w taborach. Przysłowie: Bezpieczny, jak za taborem, ztąd wzięło początek.

Moja łódka.

Po żywota mętnej fali
Podmuchami losu gnana,
Ku nieznanej gdzieś oddali,
Płyń ma łódko w imię Pana.
Czy ci przystań poznać gładką
Czy w otchłani, los zagadką,
Bog ci koniec da —
Co tam! Póki słońce świeci
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! Płyń łódko ma!

Znoić czoło czyli warto!
Czyliż warto mówcie sami,
Z losem walkę wieść zażartą,
Gdy śmierć może tuż przed nami?
Niż o byt ten dbać bez treści,
Co tak mało szczęścia mieści
I tak krótko trwa;
Lepiej, póki słońce świeci,
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! Płyń łódko ma!

Towarzyszy nam w podróży
Myśl piosneczek muza młoda;
Kiedy niebo się zachmurzy
Ona nam odwagi doda!
Kołysani jej dźwiękami,
Przesuniem się nad falami,
Niedotknąwszy dna;
Niebo jasne, słońce świeci,
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! Płyń łódko ma!

Winnicami tam na brzegu,
Ku nam wdzięczy się dolina;
Łódko moja! Zwolnij w biegu!
Weźmiem z sobą zapas wina!
Kiedy pełny dzban wychylę,
Krew mi raźniej zadrga w żyle
W oku błyśnie skra.
Potem dalej! Słońce świeci,
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! Płyń łódko ma!

J. S. Chamiec.





Dział kobiecy.

„Szyk“.

Piękność, dowcip, talenta i elegancya są bardzo pożądanemi zaletami, ale nie potrzeba ich wszystkich razem posiadać, aby mieć „szyk“. Pojęcie szyku jest nieskończenie szerszem i zależy od rozmaitych właściwości osobistych i kierunku gustu pojedyńczych osób.

Szyk nie jest, jak niektórzy sądzą, jedynie modą, tylko zupełnie czemś innem — możnaby powiedzieć czemś zagadkowem, tajemniczem, niemożliwem do naśladowania — owem nieokreślonem czemś, co ma w sobie coś odrębnego. Jeden z nowoczesnych pisarzy twierdzi, że kto chce być „chic“, musi być całkiem sobą samym z wszystkiemi swemi przymiotami, zaletami, błędami i dziwactwami. Daremnie usiłują ludzie, nie posiadający szyku, naśladować szczęśliwych „szykownych“ w ubiorze, urządzeniu mieszkania, manierach i t. d. Staną się co najwyżej ich karykaturą, ale „chic“ — nie będą nigdy!

Nieodzownym warunkiem szyku są więc osobiste właściwości. Któż by np. nie uznał tej młodej kobiety w czarnej aksamitnej sukni za piękną i szykowną? Jasne włosy harmonizują tak dobrze z białą, delikatną twarzyczką, posypaną leciutko pudrem i z jej wielkiemi, ciemnemi oczami. Ruchy tej kobiety są miękkie, pełne jakiegoś niedbałego wdzięku, który wszystkich zachwyca!

„Chic“ jest także śliczna subretka, w wielkim, różowym kapeluszu, z którego białe gwoździki tak powabnie się zwieszają. Drobne kędziorki zakrywają do połowy czoło, a czerwone usta uśmiechają się wyzywająco i śpiewają śmiało:

„Wynajduję mody, mam wielki szyk,
„Widać to zaraz, że jestem królową...“

Zupełnie w innym rodzaju posiada szyk owa wysmukła brunetka, która ubrana zawsze podług ostatniej mody, jest ozdobą każdego salonu. Kapelusze jej, a ma ich przynajmniej z półtora tuzina, są nadzwyczaj gustowne; umie przytem tak zręcznie ułożyć włosy, że najświeższe modele zdają się być jedynie dla niej tworzone. Suknie, kaftanki i okrycia jej mają krój niezrównany — zważa też niezmiernie na rękawiczki i nosi zawsze jedwabne spódniczki i wytworne buciki. Ładna ta dziewczyna lubi się podobać, ale zalotność jej nie jest brzydką i pospolitą, tylko zręczną i ujmującą. Mówi wprawdzie dosyć dużo, ma jednak dowcip i potrafi wszystkich zająć swoją rozmową. Lubi zabawy, bale, teatr, koncerta, jeździ doskonale na welocypedzie i wygląda zawsze jak uosobistnienie szyku. Sławny krawiec paryski, Worth, twierdził, że „szyk“, to rzecz wrodzona, i że kto go nie ma, ten go sobie nigdy nie przyswoi. Nawet kobieta brzydka może być szykowna, jeżeli umie się ubrać i nosić to, czego inne nie mają.

Królową szyku była przed laty księżna Paulina Metternich. Umiała ona ubrać się tak, że żadna kobieta nie potrafiłaby jej naśladować. Nad każdą drobnostką swej toalety namyślała się starannie, ale za to doprowadzała potem do rozpaczy swoje rywalki, które równać się z nią nie mogły. Wszystkie jej ruchy były „chic“ — jeżeli się śmiała, rozmawiała, obracała głowę, jeżeli poruszała białemi, ubrylantowanemi palcami, jeżeli jadła i podnosiła kieliszek szampana do ust (bo zwykle piła tylko szampana) to ruchy jej były tak naturalne, niewymuszone, a wdzięczne, że wszyscy patrzeli na nią z zachwytem. Możnaby sądzić, że słowo „chic“ wyłącznie dla niej zostało wynalezionem.

Kto wogóle użył po raz pierwszy słowa „chic?“ Przed stu laty nie znano go wcale. We Francyi nazwano osoby zręczne i wytworne „aimable“ (uprzejme, miłe) albo też mówiono o nich, że mają „le bel air“. Przed mniej więcej dopiero 40 laty użyto wyrazu „chic“. I cóż dziś nie jest szykiem! Herbaty o godzinie piątej, „tańcujące śniadania“, sport wszelkiego rodzaju itp. I nic się tak prędko nie zmienia, jak szyk w modzie. Dziś czarne rękawiczki do toalety promenadowej, jutro białe..... Dziś szerokie pasy skórzane są szykiem, jutro wązkie z wstążki, dziś noszą panie zegarek w bransoletce skórzanej, jutro na długim złotym łańcuszku na szyji, a każda chce być szykowną i wypełnia ściśle najdziwaczniejsze przepisy mody.

Książe Wales, dzierżący od dawna berło pierwszeństwa w dziedzinie szyku i mody, nosi zawsze na ręku wązką, złotą bransoletkę, Mascagni zaś, twórca Cavalleryi Rusticany nosi głęboko wycięte trzewiki i jedwabne pończochy, z których jedna jest czerwoną, druga niebieską.

W Paryżu jest obecnie królową szyku baronowa Magdalena Deslandes, z domu hrabianka Fleury. Posiada ona podobno najmniejsze w stolicy nóżki, i „zagadkowe, smutne oczy“, a wszystkie panie

zazdroszczą jej tego i przewracają melancholijnie oczy, aby mieć „chic“.

Ale jeszcze jedna kobieta w Paryżu będzie zdumiewać i zachwycać ludzi aż do końca życia. Jest ona pół kobietą, pół sfinksem, pół księżniczką z baśni, która dobre wróżki wieczną obdarzyła młodością — a niezwykłem tem zjawiskiem jest: Sara Bernhardt. Wielkiemi, czarnemi oczami patrzy ona na ludzi, których olśniewa i czaruje swym głosem i spojrzeniem. Wysoka i giętka postać i złoto-czerwone włosy nadają jej dziwnego jakiegoś, niewytłomaczonego uroku. Jeden z powieściopisarzy francuskich tak się o niej wyraża:

„W nowoczesnych utworach jest Sara Bernhardt kobietą modną, której istota pełną jest nerwowego, gorączkowego rozdrażnienia. Umie ona być namiętną i potulną, gwałtowną i łagodną, zepsutą i niewinną, ekcentryczną, zagadkową, a zawsze wielką i niezrównaną.

Nawet toalety jej mają zupełnie odrębny charakter. Nadawają one jej wysokiej i giętkiej postaci tyle uroku i wdzięku, że najmłodsze i najpiękniejsze kobiety mogłyby go jej pozazdrościć. Sara Bernhardt będzie zawsze młodą i zachwycającą, bo ma ów „chic“ wrodzony, jakiego nikt sztucznie nabyć nie może. Zapomina ona i o zmęczeniu i o wszelkich cierpieniach fizycznych, aby zawsze być szykowną i zachwycającą. Dałaby się nawet tatuować, gdyby „chic“ tego wymagał.

Nieraz nie szczędzą panie ani czasu ani pieniędzy, aby kupić sobie najmodniejsze i najkosztowniejsze rzeczy, ale mają przytem mało gustu i nie wyglądają nigdy „chic“. Tajemnicą dobrego gustu, wytworności i szyku jest „harmonia“, a głównym błędem, jaki kobiety popełniają przy wyborze toalety jest ten, że za mało uwzględniają właściwości własnej osoby. Przedewszystkiem powinny zważać na wiek. Wyjątkowe osoby, jak n. p. owa Sara Bernhardt, nie potrzebują na to zważać, ale mówimy tu nie o wyjątkach, tylko o ogóle. Drugim warunkiem gustownego ubrania jest harmonijne zestawienie kolorów. Blondynki muszą nosić inne kolory jak brunetki, już przez sam wzgląd na różnicę płci. Żywe barwy podnoszą piękność brunetek, delikatne zaś kolory, n. p. biały, różowy, błękitny, blado zielony i t. p. podnoszą koloryt blondynek.

Chęć ubierania się „apart“ i „chic“ wywołuje często wielkie zboczenie gustu. Oznakami damy comme il faut są: wytworne buciki, starannie ułożone włosy i eleganckie rękawiczki. Co do reszty, to wszystko już zależy od osobistych właściwości. Starać się tylko trzeba o łagodzenie dysharmonii o tyle, o ile to można za pomocą przepisów sztuki i estetyki.

Jedynie kobieta myśląca ma „chic“, taka bowiem, której serce i dusza są sercem, nigdy szykowną nie będzie. Tak mówi francuzka powieściopisarka Gyp.

I znów widzę oczami duszy śliczną subretkę w różowym kapeluszu, o zwieszających się białych gwoździkach i słyszę śpiew jej:

„Mam szyk — mam szyk...“
Nie każdy go ma, tylko ja, tylko ja...“

O tak! Ona wie, co to jest mieć „chic.“

Os.

Najnowsze mody.



Suknia wizytowa.

Nekrologia.

Ś. p. ks. kanonik Kegel

zakończył w. Krotoszynie zacny i pracowity żywot dnia 3 b. m. — Kiedy przed pięciu laty Zmarły obchodził złoty jubileusz kapłaństwa, pospieszył sam Najprzewielebniejszy X. Arcypasterz do Krotoszyna na uroczystość, aby sędziwemu Jubilatowi dać dowód, że nie zapomniał o ścisłych węzłach, jakie niegdyś łączyły miłującego młodzież szkolną Regensa trzemeszeńskiego, rokującego wówczas piękne nadzieje młodzieńca. Zastępy osób wszelkich wyznań i narodowości, płci i wieku, które spieszyły złożyć ówczesnemu Jubilatowi dary i życzenia, najlepszem są świadectwem, jaką miłością i szacunkiem otaczali Zmarłego wszyscy, którzy go znali. Tem większa żałość, iż Bóg go odwołał do siebie, jakkolwiek go odwołał po długiej na ziemi pielgrzymce. Sędziwemu bratu Zmarłego, X. Julianowi, wyrażamy na tem miejscu najserdeczniejsze współczucie.

S.p. ks. kan. Edward Kegel, urodził się w r. 1821, na kapłana wyświęcony był w roku 1845. Po ruchawce roku 1848 powołany był do Trzemeszna na profesora religii przy gimnazyum i zarazem regensa alumnatu Kosmowskiego, w którym, stosownie do woli fundatora, uboga młodzież szlacheckiego pochodzenia, w tym samym, co on domu, pod dozorem mieszkała i w gimnazyum się kształciła, będąc obowiązana do śpiewania co dzień rano w kościele łacińskiego officyum o Najśw. Maryi Pannie. Z grona tej młodzieży wyszli: Najprzew. ksiądz arcybiskup Stablewski, śp. dr. med. Daszkiewicz i wielu innych. W roku 1861 opuścił śp. ks. Kegel posadę nauczycielską i objął po ś. p. ks. Tycu probostwo w Trzemesznie, z którego roku 1869 na krotoszyńskie się przeniósł. Zawsze był gorliwym Polakiem a zaufanie rodaków powierzyło mu na jednę kadencyą przed dwudziestu i kilku laty mandat poselski do Berlina. Za życia hojnym darem wsparł on fundacyą Sióstr Elżbietanek w Krotoszynie i brał chętny udział w pracach społecznych. Ze zmarłym zstąpił do grobu jeden z najstarszych wiekiem kapłanów, który z czasów gimnazyum trzemeszeńskiego wiele pozostawił uczniów, imię Jego w wdzięcznej zachowując pamięci. Dusza ś. p. X. Edwarda niech odpoczywa w pokoju i cześć Jego pamięci!

* * *

Dnia 25-go z. m. zmarł po długiej chorobie

ś. p. ks. Mikołaj Gintrowicz,

proboszcz ludomski, w 71. roku życia a 45. roku kapłaństwa. R. i. p.

* * *

X. kapelana Łukomskiego, który towarzyszy Najprzew. X. Arcypasterzowi na Riwierze, dotknął w czasie nieobecności jego cios bolesny. Zakończył bowiem życie w W. Borze ojciec jego

ś. p. Józef Łukomski,

w 75 roku życia. Szanownemu X. Kapelanowi i całej jego rodzinie wyrażamy niniejszem serdeczne nasze współczucie. Duszę Zmarłego niech Bóg przyjmie do Swej chwały!

* * *

S. p. Ludwik Sokolnicki,

oficer byłych wojsk polskich z 1848-go roku umarł w 78-ym roku życia w Pigłowicach w Poznańskiem.

Cześć Jego pamięci!

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Premium!

Kto *jeszcze teraz* zjedna nam nowego przedpłaciciela i nadeśle nam prócz swego kwitu abonamentowego także kwit zjednanego nowego abonenta, otrzyma jako premium piękny

Kalendarz Maryański

na rok 1900.

☞ **Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Pod maską“, „Szewczyk Szczygieł“ i t. d. otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dziesięciofenygowy na porto.**

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Premią, mianowicie „Kalendarz Maryański na rok 1900“, otrzymają tylko ci Czytelnicy, którzy nam nadeślą prócz własnego kwitu abonamentowego także na dowód kwit nowego zjednanego abonenta i to kwit z początku bieżącego miesiąca, a nie z datą starszą.

Wiadomości.

„Jednodniówkę“ jak dotąd tak i nadal nabywać można w ***ekspedycyi „Pracy“.*** Cena za egzemplarz 1,50 mk.

Szanownych Czytelników, którzy odebrali *„Jednodniówkę“*, a jeszcze nie nadesłali po 1,50 mk. za egzemplarz, prosimy uprzejmie o łaskawe uskutecznienie tegoż w celu uregulowania rachunku.

Administracya „Pracy“
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

W śledztwie toczącem się w tutejszym sądzie nadziemiańskim przeciwko p. Witołd. Leitgebrowi z Ostrowa o rzekomą zdradę stanu, przesłuchiwał na skutek rekwizycyi sądu Rzeszy radca sądu nadziemiańskiego, p. Zaeschmar, dnia 7-go b. m. w południe redaktora naszego tygodnika, pana Bolesława Rakowskiego, jako świadka.

Odpowiedź Sienkiewicza. Baronowa Suttner, głośna rzeczniczka międzynarodowego pokoju, rozesłała do szczupłego grona wybitnych europejskich pisarzy i myślicieli prośbę o podpisanie humanitarnej odezwy „do wszystkich szlachetnych dusz w W. Brytanii“ z powodu wojny w Afryce południowej.

Henryk Sienkiewicz, do którego również wysłała wspomniane pismo, odpowiedział listem francuzkim, który z upoważnienia autora podaje „Czas“ w dosłownem brzmieniu i w tłomaczeniu polskiem.

W liście tym, z którego bije duch szlachetnego patryotyzmu polskiego, oświadcza znakomity nasz powieściopisarz, że odezwy podpisać nie może, albowiem wydaje mu się „jakąś niesłychaną ironią, czy też jakiemś potwornem bałamuctwem, taki kierunek humanitarnych idei i taki stan najszlachetniejszych nawet umysłów, w którym potępia się tak gorąco objawy przemocy pod biegunem południowym i odczuwa się całem sercem nieszczęścia tak odległe, a nie widzi się, nie słyszy i milczy o najbliższych i głębszych.... Oczy wasze błąkają po przestworach oceanu i wzrok leci na krańce ziemi, a przecież Poznańskie, Śląźk i Prusy Zachodnie leżą tuż obok was! Więc Pani! Zanim zaczniecie się zajmować Afryką, zajmijcie się Europą. Olbrzymie zadania humanitarne leżą tuż obok was... Niech się rozproszą chmury bezprawia, niech powiew prawdziwego humanizmu odświeży zatrute powietrze hakatystycznych koszar.... Pracujcie nad tem, aby Chrystus zapanował w domu waszym i w waszych dziejach.“

Na koszta sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju nadesłało na ręce naszej redakcyi „Towarzystwo Pań śpiewu kościelnego w Śremie“ cząstkę dochodu z koncertu danego na cześć Słowackiego w ilości 30 mk.

Razem z poprzedniemi złożono na ten cel u nas 42 mk. Dalsze datki przyjmujemy chętnie.

Zwracamy baczną uwagę na inserat pana Fr. Andrzejewskiego, właściciela słynnego, pierwszorzędnego warszawskiego magazynu obuwia w Poznaniu przy ulicy św. Marcina nr. 68. Najwyborniejsze i najwykwintniejsze obuwie damskie i męzkie, pochodzące z warsztatu względnie magazynu p. Fr. Andrzejewskiego, nie potrzebuje żadnej reklamy.

Zarząd Wolnego Cechu szewskiego w Poznaniu donosi w odnośnym inseracie, iż wskutek podrożenia wszystkich towarów a już bardzo nizkich cen za wyroby szewskie, są zmuszeni szewcy podnieść cenę swych wyrobów o 10%.

Gdzieby się mógł osiedlić z korzyścią rodak drogerzysta? Prosimy o łaskawe informacye do Administracyi „Pracy“ pod lit. G.

Teatr. Wznowiona w ostatnim czasie na benefis sympatycznej, uzdolnionej i pracowitej artystki, pani Zofii Jakubowskiej, z francuskiego komedya p. t. „Frou-Frou“ miała wielkie powodzenie. Bardzo licznie zgromadzona publiczność oklaskiwała gorąco staranną grę benefisantki w roli Gabryeli Brigard, oraz innych artystów, mianowicie pani Wysockiej i pp. Adwentowicza i Kosińskiego. Przedstawienie było pod każdym względem wzorowe, a wystawa sztuki efektowna.

Również z powodzeniem wystawiono w ubiegłą sobotę na benefis starannej i pracowitej artystki, pani Stępowskiej, pełen wielkiego humoru wodewil ze śpiewami i tańcami, z francuzkiego, p. t. „Dwanaście żon Jafeta“. Sztukę tę powtórzono w niedzielę ubiegłą wieczorem. W oba wieczory, licznie zebrane audytoryum ustawicznym wybuchało śmiechem i darzyło ciągłemi oklaskami raźną i komiczną grę artystów. — Sztuka jest parodyą życia amerykańskich mormonów, jak wiadomo, wielożeńców.

W sobotę, dnia 10 b. m. ukaże się na benefis pani Stanisławy Wysockiej, wybitnej siły naszego teatru, po raz pierwszy sztuka w 4 aktach Tadeusza Jaroszyńskiego: „Ścigana“. Oryginalny ten utwór wystawiony nie dawno temu w Warszawie doznał tam gorącego przyjęcia i granym był dotychczas wielokrotnie z wielkiem powodzeniem.

W niedzielę dnia 11-go b. m. po południu o godzinie 3 odegraną zostanie bardzo piękna tragedya p. t. „Histryoni, męczennicy chrześcianscy“ po cenach do połowy zniżonych.

Tego dnia wieczorem po raz drugi: „Ścigana“, przez Tadeusza Jaroszyńskiego.

Ks. dziekan Fligierski z Konar obejmuje z dniem 1 kwietnia probostwo w Buku, opróżnione przez śmierć ś. p. ks. prob. Akoszewskiego.

Egzamina. W zimowym semestrze roku 1899/1900 pozdawali egzamina państwowe na wszechnicy w Wrocławiu następujący rodacy: Chyla z Opola, Doerffer z Pawłowic, Karas z Bnina, Kaczmarek z Obornik, Koehler z Poznania, Gacek z Katowic, Lewandowski z Kłon, Maciaszek z Krotoszyna, Palędzki z Gąsawy, Styczyński z Grodziska, Szubert ze Śremu.

Pan Alfred Chłapowski, dziedzic dóbr Bonikowskich w Poznańskiem pod Kościanem, złożył temi dniami w Monachium egzamin doktorski na fakultecie ekonomicznym na mocy pracy o historyi polityki agrarnej w Belgii w XIX wieku. Praca ta najwyższe osiągnęła odznaczenie.

Przy sądzie nadziemiańskim w Wrocławiu zdał egzamin referendaryuszowski p. Adam Suszczyński z Gniezna.

Rodak nasz p. Czesław Stobiecki z Ostrowa złożył w Berlinie egzamin państwowy cum laude w wydziale weterynaryi.

W Giessen złożył egzamin państwowy na lekarza praktycznego p. Alfred Działowski z Warszawy, syn p. Leona Działowskiego, dawniej z Pilewic.

Śluby.

Dnia 20 z. m. pobłogosławiony został w Skorzencinie związek małżeński pomiędzy p. Antonim Teubertem, nauczycielem z Białożewina pod Żninem, a panną Stefanią Retzlaff, córką powszechnie szanowanego p. Retzlaffa, nauczyciela z Skorzencina. Aktu ślubnego dokonał proboszcz Kruszka w kościele w Ostrowitem.

Dnia 21 z. m, pobłogosławiony został przez ks. dziekana Chybickiego w pięknie przystrojonym kościołku Najśw. Maryi Panny w Stęszewie związek małżeński pomiędzy panną Jakś ze Zamysłowa a panem Stanisławem Strykowskim ze Sapowic. Na uczcie weselnej nie zapomniano o potrzebach kraju naszego, zebrano bowiem 21,40 mk., z których połowę przeznaczono na konwikt w Poznaniu, a drugą połowę na Czytelnie ludowe.

Dnia 21 z. m. pobłogosławiony został w Ostrowie pod Gembicami przez ks. prob. Languera związek małżeński pomiędzy panną Ludwiką Bojanowską, córką wdowy po król. leśniczym, Magdaleny z domu Rozpłochowskiej, a panem Stanisławem Wegnerem z Riksdorfu pod Berlinem.

Dnia 21 z. m. pobłogosławiony został w kościele parafialnym w Czersku w Prusach Zachodnich związek małżeński między panną Elżbietą Hofmann z Lasku pod Legbontem, a p. Janem Boną, kupcem z Kościerzyny.

Młodym parom „Szczęść Boże“!

Od Redakcyi.

Pani M. Nowakowej w Gostyniu. „Bóg zapłać“ za przysłane nam egzemplarze „Pracy“.

Księgarnia Gebethnera i Sp. w Krakowie. Numery od 1 do 5 włącznie już wyczerpane zupełnie.

Panu G. J. w Stryju, Galicya. Najserdeczniejsze dzięki za zjednywanie nam nowych abonentów. *Vivat sequens!*

Mieczysław w Poznaniu. Pilnie szukać będziemy. Za numery „Pracy“ najuprzejmiej dziękujemy.

Szklarzowi w K. Wszystko będzie — tylko bądź Pan jeszcze trochę cierpliwy.

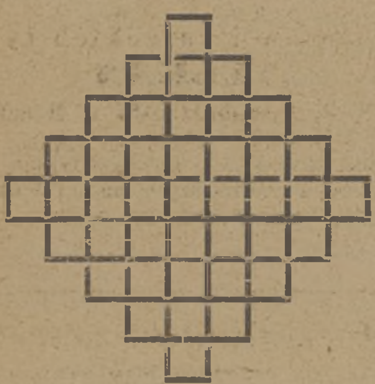
Panu Leonowi S. w Montigny pod Metzem. W Obrzycku — Obersitzko — Prov. Posen.

Panu M. K. w Chemnitz. Na razie odszukać nie mogliśmy.

Pani Maryi P. w Obornikach. Za życzliwe pozdrowienie najserdeczniej dziękujemy.

Panu Franciszkowi K. w P. pod Opolem. Radzimy przyjąć miejsce wolontarjusza w instytucyi bankowej polskiej. Może „Bank Przemysłowców“ w Poznaniu poinformuje Pana bliżej.

Łamigłówka.*)



W kwadraciki wyż stojącej figurki umieść następujące litery:

l l l, b b b, ł, o o o o o, t t t, h h, u, a a a a, n n, i, y y y, f, e e e, r r r r, z z, c c, k, tak, aby powstałe z nich wyrazy miały poniższe znaczenie:

1) Litera.
2) Imię biblijne.
3) Wojak z „trylogii“ Sienkiewicza.
4) Mickiewicz był nim w młodości.
5) Pewna klasa ludzi.
6) Mówca sławny w starożytności.
7) Ozdoba.
8) Znak smutku lub też radości.
9) Litera.

Środkowe linie wdłuż i wszerz jedno i to samo oznaczają.

Rozwiązanie zagadki z literatury polskiej z nr. 4-go „Pracy“:

Powieść poetycką noszącą tytuł „Marya“ ułożył Antoni Malczewski. Urodził się 1792 roku na Wołyniu, umarł w Warszawie 1826 roku, licząc dopiero 34 lat. Kształcił się w Dubnie, a dokończył nauk w Krzemieńcu pod okiem Czackiego. Roku 1811 wstąpił do wojska polskiego, a roku 1816 wziął uwolnienie, ponieważ złamał nogę. Odbywał liczne podróże po różnych krajach. Wróciwszy do kraju osiadł na Wołyniu. Tu słyszał opowiadanie o Gertrudzie Komorowskiej, z którą się ożenił Stanisław Potocki wbrew woli ojca swego, dumnego wojewody. Ojciec urażony, że syn miał zaślubić szlachciankę, kazał ją utopić. Na tle tego smutnego zdarzenia, ułożył Malczewski powieść ukraińską pod tytułem „Marya“.

Dobre rozwiązanie nadesłali:

Z Poznania:

Pp. T. Pudelewicz, W. Gładysz, A. Kandulski, Kazimira G., Irena Szulc, Zdzisław Fischbach.

Z prowincyi:

Z Poniеca: p. W Hejnowicz.
Z Gostynia: p. Br. Pospieszyński.
Z Inowrocławia: p. St. Rybicki.
Z Miłosławia: pp. J. Kosicki, R. Swietlik.
Z Ostrzeszowa: p. I. Rajewski, N. N.
Z Obornik: p. Marya Wawrzynowicz.
Z Gniezna: p. M. Smielecka.
Ze Sremu: p. T. Skoraczewski.
Z Nakła: p. T. Beniakowska.
Z Wolsztyna: p. St. Miedziński.
Z Kościana: p. H. Augustyniak.
Ze Srody: pp. M. Brzezińska, Pasikonik.
Ze Wschowy: p. J. Tomaszewski.
Z Ostrowa: p. A. Makowski.
Z Mogilna: p. Fr. Wiśniewski.
Z Witkowa: p. F. Alkiewicz.
Z Janowa pod Nakłem: p. W. Kitkowski.
Z W. Lasków p. Mogilno: p. Stepczyński.
Z Miedzianowa p. Ociąż: p. Negowski.
Z Wiązowna p. Koronowo: p. J. Górski.
Z Kozłowa p. Trzemeszno: p. Wł. Szałkowski.
Z Duszna p. Trzemeszno: p. Bogusławska.
Z Sadowców p. Ostrowo: p. Z. Zdżarska.
Z Szczurkowa p. Kawcze: p. M. Gogulska.
Z Żrenicy p. Srodą: p. M. Otmianowska.
Z Strzyżewa kość. p. Gniezno: p. S. Pietrzak.
Z Lubasza, powiat Czarnkowski: p. K. Nieżychowska.
Z Swidnicy p. Wschową: p. G. Tomaszewski.

Z Prus Zachodnich:

Z Zblewa: p. J. Czaplewski.
Z Wąbrzeźna: pp. W. Balcerska, C. Z.
Z Chojnic: p. M. Włoszczyński.
Z W. Chełmów p. Brusy: p. M Bątkiewicz.
Z Sumina: p. M. Cichowski.
Z Trzebcza p. Nawrą: p. C. Pątkiewiczówna.
Z Wiela: p. K. Czaplewski.
Z Więckowów: p. P. Swieczkowski.

Z Górnego Śląska:

Z Katowic: p. H. Ciemięga.
Z Bytomia: p. K. Pietrzykowski.
Z Rybnik: p. J. Daniel.
Z Roździenia: pp. J. Loga, K. Pronobis, J. Badura.
Z Chroscic: p. M. Skrzypczyk.

Z Galicyi.

Z Krakowa: pp. K. Osiński, Z. Cygnarowicz.
Z Stanisławowa: p. J. Rogoziewicz.
Z Nadbrzezia: p. J. Niewiadowski.
Z Tarnopola: p. A. Rogoska.
Z Stróż: p. J. Farbowski.
Z Starego Sambora: p. A. Pisowicz.
Z Stryja: pp. K. Praxmajer, J. Krzyszkowski.
Z Starejsoli: p. M. Sędzimirowa.
Z Wojniłowa: p. L. Jasiński.
Z Zawoji: p. M. Zemlik.
Z Karwiny: p. I. K. w następującym wierszu:

„Maryę“ kto napisał się pytacie? —
Wszyscy dobrze znać go macie,
Bo niech wie każda osoba,
Mówię wam przy okazyi,
Że „Marya“ to ozdoba
Naszej polskiej poezyi.
Jest już to przed czasem długim,
Bo w tysiąc siedmset dziewiątym drugim
Roku ujrzał on ten świat;
I po krótkiem życiu w majowy dzień,
Jak w maju zerwany kwiat,
Zabrał się na wieczny sen.
Tysiąc ośmset dwadzieścia sześć,
Oto rok jest zgonu jego,
Antoniego Malczewskiego,
Sława jemu i cześć!

Ze Śląska austryackiego.

Z Pruchny: p. F. Tepper.

Z obczyzny.

Z Berlina: p. L. Borek.
Z Hanoweru: p. L. Kostrzewski.
Z Krefeldu: p. H. Wullert.

Nagrodę otrzymała przez wylosowanie pani W. Balcerska z Wąbrzeźna, Pr. Zach.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę, tj. książkę wartościową. Los rozstrzygnie komu nagroda przyznaną będzie. — Rozwiązania przyjmujemy aż do 14-go marca włącznie! — Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

Humorystyka.

Figlarz na targu.

„A cóż tam macie, gospodarzyczku,
W tym oto tutaj waszym koszyczku?“
„A to sam żona ot, na sprzedanie,
Dała mi trochę jajek, mój panie;
Są dwa mędele i coś połowa.“
A figlarz na to rzecze te słowa:
„Ej! ej! nie mówcie mi tego miły,
Bo się rachunki snać wam zmyliły,
Tu tyle nie ma!“ — „Ale, mój panie,
Toć na to jesta porachowanie;
To niech pan liczy!“ — „No siadać proszę!“
Figlarz wybiera jajka po trosze,
I siedzącemu kładzie na łonie
I na złożone na piersiach dłonie.
A przy ostatniem chłopka pochwali:
„A toście dobrze porachowali!
Akurat tyle! Cóż mam dać za nie?“
A chłopek na to: „Pięć złotych, panie!“
„Tyle to nie dam, niech inny kupi“
I poszedł. Chłopek siedzi jak głupi,
Nie mogąc ruszyć ręką, nogami,
Boć obłożony był tak jajami,
By choć ruch jeden — jaja na bruku!
A tu przechodniów śmiech do rozpuku!
I byłby siedział godzinę, drugą,
Ale mu sąsiad przybył z usługą. —

Szczęsny Ostoja.

Humor... czarodziejem.

Choć masz słuchaczów zebranych licznie
I mówisz jasno i patetycznie,
To nieraz możesz spostrzedz w zapale,
Że... iby i łebki ciążą ospale;
A gdy ten i ów w nawiasie ziewnie,
Natenczas dreszcz cię przebiega gniewnie,
I pytasz siebie: Czyż to u dyabła
Wena już twoja całkiem osłabła?
Jak tu zażegnać tę straszną zgrozę,
No i przyspieszyć metamorfozę?...
— Ha! wystrzel tylko udatnym żartem,
A każde serce będzie otwartem!
Tyś je pokrzepił humoru... winem,
Więc mówić możesz... *usque ad finem!*

Podsłuchane.

Po balu zdradził K......

(Bal publiczny. Sala balowa, zalana światłem. Ławeczka aksamitna pod ścianą w samym rogu. Osoby: Mama, pan zaspany).

Pan zaspany. Jakże pani dobrodziejka bawi się w tym karnawale?

Mama. Zamiast odpowiedzi, wskażę panu dwie moje córki. Ot, tam tańczą obok siebie w mazurze.

Pan zaspany. Dorodne dziewice! Pani dobrodziejka zapewne dokładnie obeznana z tutejszemi stosunkami? Ja nie znam ich zupełnie. Przyjechałem z prowincyi na karnawał i jestem jak tabaka w rogu.

Mama (zaciekawiona). Z prowincyi? na karnawał? I jakże się pan bawi?

Pan zaspany. Przyznam się pani dobrodziejce, że nie bardzo. Psuję sobie humor, ilekroć spojrzę na młodzież dzisiejszą. Zmateryalizowane to do śpiku kości. Słyszę, że zjechało jej mnóstwo, a wszyscy szukają na gwałt posagów. Zapominają, że święta instytucya małżeństwa.

Mama (na stronie). Człowiek poważny, ale dobrze zakonserwowany! (Głośno.) Czy wolno zapytać bez niedyskrecyi, czy pan także przyjechał w celach matrymonialnych?

Pan zaspany (z przekonaniem). O tak, w celach matrymonialnych!... A gdy spojrzę na młodzież, którą tu przed sobą widzę, dreszcz świętego oburzenia przejmuje mnie do śpiku kości. Święta instytucya małżeństwa zeszła na poziom tranzakcyi handlowych; czarowne gruchania miłości stały się czczym akompaniamentem przy liczeniu złota posagowego; cnota dziewicza i zalety osobiste zeszły na plan ostatni...

Mama (z zadowoleniem). Święte słowa! Gdyby więcej było mężczyzn z pańskim sposobem myślenia, mielibyśmy więcej małżeństw szczęśliwych. Zdaje mi się jednak, że pan zbyt pensymistycznie zapatruje się na stosunki dzisiejsze. Tak źle nie jest...

Pan zaspany (z zaciekawieniem). Doprawdy? Więc pani dobrodziejka, znając dobrze stosunki miejscowe, twierdzisz, że młodzież tutejsza...

Mama. Tak złą nie jest. Zdarzają się wyjątki. Ot naprzykład córeczki moje...

Pan zaspany. Dorodne dziewice!

Mama... choć nie mają dużych posagów, nie mogą uskarżać się na brak powodzenia. Pan nie ma tu znajomości?

Pan zaspany. Bardzo mało...

Mama. O, to trzeba je pozawierać. Gospodarze balu są bardzo uprzejmi, można być przedstawionym... Karnawał tegoroczny jest długi; można się w nim rozejrzeć, zakochać i — ożenić, jeżeli ktoś ma serce poczciwe i silną wolę po temu...

Pan zaspany Święte słowa oby się sprawdziły!... Czy może być coś bardziej uroczego nad młodą, pełną niewieściego wdzięku panienkę, pląsającą w objęciach człowieka, niezarażonego przekonaniami młodzieży dzisiejszej!

Mama (z uśmiechem pobłażania). A pan nie jest niemi zarażony?

Pan zaspany (z oburzeniem). A niech mnie Bóg zachowa! Zawsze twierdziłem, że tylko czysta, niesprofanowana posagiem miłość jest podstawą szczęścia małżeńskiego!

Mama (na stronie). Bardzo poważnie myślący człowiek! Trzeba go z mężem zapoznać (głośno). Pan długo zabawi tu?

Pan zaspany. Prawdopodobnie do końca karnawału.

Mama. Wszyscy bawimy się nieźle o wieczorki prywatne nie trudno. My sami przyjmujemy co drugą środę. Co to? już polonez? Hasło do kolacyi?

Pan zaspany. Już kolacya? A, ja nieszczęśliwy, nie zająłem miejsca!

Mama. O to nie trudno. Jeżeli pan niema znajomości, to każdy gospodarz balu...

Pan zaspany (otwarcie). Przyznam się pani dobrodziejce, że znajomości nie mam, ale za to mam żonę i dwie bezposażne córki na wydaniu...

Ot, tam siedzą pod ścianą bez tancerzy, którzy, jako młodzież zmaterjalizowana do śpiku kości...

Mama (zgnębiona, odchodząc pospiesznie wstronę nadchodzącego męża). Och... (na stronie z pasją). Mieć moje doświadczenie, moje oko i nie poznać, że „to" nie jest kawalerem, na to trzeba być...

*

Szczęśliwy kraj.

— Panie Falszgewicht, słyszałeś pan? W Czechach znowu panuje obstrukcya.

— No, im to nie szkodzi, bo oni mają u siebie Karlsbad.

NADESŁANE.

(Rubryka **„Nadesłane"** nie pochodzi od redakcyi, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje.)

Prawie wszystkie środki służące do farbowania włosów zawierają w sobie sole metalowe, szkodliwe bardzo zdrowiu, więc prawnie wzbronione. Wolny zupełnie od trucizny jest nowy preparat dr. Kuhna t. zw. **Nutin**, nadający naturalny kolor włosom. Ponieważ jest wiele preparatów trujących podrzędnej wartości itp., więc dokładnie należy uważać na nazwisko Nutin i firmę „Frz. Kuhn", skład perfumów w Norymberdze. Do nabycia w drogeryi P. Wolffa w Poznaniu, Plac Wilhelmowski 3.

Na podstawie mandatu udzielonego nam przez Walne Zebranie interesentów tak z grona właścicieli ziemskich, jak i dzierżawców z dnia 21 lutego r. b. ogłaszamy niniejszem, że od dnia dzisiejszego wciągnęliśmy w zakres działalności naszej wszystkie interesa, tyczące się **dzierżaw rolnych**, mianowicie pośrednictwo takowych. Prosimy więc tak mających chęć wydzierżawić, jak i reflektantów na dzierżawy do nas się udawać.

Przy adresowaniu listów do nas prosimy koniecznie **podawać ulicę**. 150

Poznań, dnia 2 marca 1900.

Spółka Rolników parcelacyjna

przy ul. Wilhelmowskiej nr. 18.

ZARZĄD:

Adam Woliński. Wład. Kaczmarek. Nepomucen Gellert.

Wskutek podrożenia wszystkich towarów, a już bardzo wizkich cen za wyroby szewskie, są zmuszeni szewcy podnieść cenę swych o 10%. Szanowna Publiczność przy zakupach naszych wyrobów zechce łaskawie to uwzględnić. 142

Poznań, dnia 27-go Lutego 1900.

Zarząd Wolnego Cechu szewskiego

w Poznaniu.

Drogerzysta,

Polak, 28 lat stary, w teraźniejszem samodzielnem miejscu 3 lata czynny, poszukuje od 1 kwietnia r. b. **miejsca przyjemnego w domu polskim.** 104

Łaskawe zgłoszenia przyjmuje Eksped. „Pracy" pod lit. *A. T. num. 104.*

Kawaler 28 lat liczący, przystojny, miłej powierzchowności, posiadający własny interes rzeźnicki w mieście, oraz gospodarstwo, szuka 126

towarzyszki życia.

Panny w wieku od lat 18—25 mające zamiar wyjść za mąż, posiadające przynajmniej 10 tysięcy marek majątku zechcą z zaufaniem nadesłać swe oferty z fotografią w celu zawarcia bliższej wiadomości pod lit. N. N. 126 do eksped. „Pracy."



2 pomocników krawieckich

może się zgłosić do pracowni garderoby męzkiej **A. Szymkowiaka w Katowicach G. -l.** ul. św. Andrzeja 2. Także **dwóch chłopców** synów poczciwych rodziców przyjmie w naukę pod korzystnymi warunkami tak dla chłopca jak i rodziców. gr.

Na sprzedaż!

Folwarki i gospodarstwa są każdego czasu tanio i pod korzystnemi warunkami do sprzedania. — Kto tylko z Panów życzy sobie jakie tylko, czy wielkie lub mniejsze gospodarstwo kupić, niech się z wszelkiem zaufaniem jako do swego rodaka do mnie zgłosi. Każdego czasu można dostać kupić. Odpowiadam za nadesłaniem znaczka poczt.

J. Nowacki, 140

pośrednik majątków

w Mielżynie p. Witkowo.